

- Gdzie jeszcze wolno się kąpać nad naszym morzem? — str. 6
- O tajemniczym jeleniu i okrutnej zemście demona lasu — str. 12 i 13
- Czy można żyć z ogrywania innych w karty — str. 13
- Przygody miłosne słynnego uwodziciela, Casanovy — str. 14

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 29 (1477) ROK XXIX

19 LIPCA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

Kiedy granice grały główną rolę

Rozmowa z EDUARDEM OSÓBKĄ-MORAWSKIM.

Tajemnice Szczecina

MAREK KOPROWSKI

Przybyszowi z miasta, w którym jedyny żywy kontakt z wielką wodą zapewnia kran w łazience lub niedzielny wyjazd nad staw Stefański, Szczecin musi zaimponować. Znalazłszy się nagle w mieście pełnym wody (zajmuje ona 1/4 powierzchni Szczecina, tyleż samo co parki i lasy; tereny zabudowane — to mniej niż 1/4, reszta należy do rolnictwa), musimy popaść w krowi zachwyt i smakować z przejęciem to, co dla tubylców jest zwykłością: niemal niezauważalną. A jest co podziwiać: malownicza płatanina zaułków i zakamarków Odry i Regalicy, labirynt kanałów, kanalików i przesmyków wodnych, bulwary i nadbrzeża — miejsca spacerów turystów i szczecinian, no i oczywiście imponująca panorama portu i stoczni, a także inne, zwykłości portowego miasta. Mimo iż od Bałtyku oddalone jest o 65 km, już po wyjściu z dworca kolejowego wprost na bulwar z widokiem ogromnych kranów i dźwigów portowych oraz potężnych sylwetek statków morskich — czujemy w powietrzu zapach morza i oceanów, dalekich portów, rejsów z przygodami, egzotykę. Najważniejszą głową lądowego szczura wypełniają się romantycznymi rojeniami o podróżach wokół świata i nieodkrytych lądach, a chwilemi i nikczemna natura podpowiada rozumowi, by rzucić wszystko i zaciągnąć się choćby na barkę pływającą do Krosna Odrzańskiego i z powrotem.

Spłynąć jednak trzeba na ziemię, czyli ląd stały i odkrywczo stwierdzić, że w Szczecinie widać dopiero, jak rzeka wraz z siatką odnóg, dopływów i kanałów, a także jezioro Dąbie, które oblewa miasto od wschodu, mogą urozmaicić wygląd grodu. Jest to piękne. Tym bardziej piękne, powiadam, dla przybysza z Łodzi — miasta otwartych ścieżek, zwanych niegdyś rzeczkami. Dla łodzianina każde miasto „rzeczne” wydaje się niemal egzotyczne, tak jak dla gościa z pustyni byłby kałuża zda się być oceanem. Dopiero po chwili proporcje układają się właściwie. Tak więc, po pewnym czasie zauważamy, że przez Kraków czy Warszawę Wisła sobie po prostu płynie, przydając od czasu do czasu kłopotów, bo jest „za niska” bądź „za wysoka”. We Wrocławiu Odra i Olawa bardziej już urozmaicają pejzaż miasta. W Szczecinie widać dopiero... i tak dalej, jak wyżej.

Czas teraz mocno stanąć na lądzie

I PRZYJRZEĆ SIĘ MIASTU

„Jako takiemu”. Najpierw trochę historii, bo jest ona nietypowa ze względu na nację okupującą bądź podporządkowującą sobie Szczecin, co wynikało z przymorskiego położenia grodu

W 967 r. Szczecin opanował Mieszko I. W dokumencie z 990 r. sporządzonym przez Mieszka dla papieża Jana XV wymieniana się „Shinesghe” (Szczecin) jako leżący na granicach Polski. Misja Krzywoustego chrzcił szczecinian w 1124 r. W sześćdziesiąt lat później miasto podporządkowują sobie Duńczycy, których władza trwa do 1227 r. Prawa miejskie nadaje Szczecinowi książę Barnim I w 1237 r. Miasto już wówczas było ważnym ośrodkiem handlu morskiego. Od XIV w. Szczecin zacieśnia kontakty handlo-



Waty Chrobrego w Szczecinie

— Krajowa Rada Narodowa skupiała tylko nieliczne organizacje lewicowe nastawione na współpracę ze Związkiem Radzieckim. Rząd emigracyjny RP cieszył się poparciem społeczeństwa w kraju, poparciem aliantów zachodnich, a także w pewnym okresie był uznawany przez ZSRR. W jaki więc sposób chcieliście wyjść z tej politycznej izolacji?

— W tym okresie liczyły się tylko takie stronnictwa i takie ruchy polityczne, które miały oparcie międzynarodowe. Dlatego Krajowa Rada Narodowa zadbała przede wszystkim o nawiązanie kontaktów międzynarodowych. Wiadomo było, że wojna zakończy się militarnym zwycięstwem mocarstw i że one będą decydowały o przyszłym losie świata, szczególnie zaś na terytoriach zajętych przez ich armie. Wiadomo było, że do Polski wkroczy Armia Czerwona, dlatego pierwszym ważnym zadaniem KRN było wysłanie delegacji przez front do Moskwy w celu nawiązania stosunków dyplomatycznych.

Delegacja pod moim przewodnictwem wyruszyła z Warszawy 16 marca 1944 roku. Nie jest prawdą, jak to pisał w swoich pamiętnikach Marian Spychalski, a za nim powtarzali niektórzy historycy, że to on był przewodniczącym delegacji. Te funkcje powierzono mnie, o czym świadczya liczne dokumenty oraz komunikat agencji TASS. Poza tym miałem wtedy wyższą funkcję w KRN. Spychalski udał się do Moskwy z ramienia PPR i miał, oprócz spraw natury państwowej, zadanie nawiązania kontaktów z komunistami przebywającymi w Związku Radzieckim.

Podróż przez front trwała znacznie dłużej niż się spodziewaliśmy, bo aż dwa miesiące. Ostatni etap przebyliśmy radzieckim kukuźnikiem. Lądowanie w Moskwie nastąpiło 16 maja 1944 roku.

— Jak zostaliście przyjęci przez Rosjan?

— Nie mieliśmy przy sobie dokumentów, więc musieliśmy pisać życiorysy. Przez pewien czas posługiwaliśmy się pseudonimami. Nawet tu żyliśmy w konspiracji, bowiem po wypełnieniu misji zamierzaliśmy wrócić. W końcu jednak przybyliśmy do kraju do wyzwolonego już Chełma dopiero 27 lipca.

Pierwsze nasze spotkanie na Kremlu z Józefem Stalinem miało miejsce 19 maja, o czym poinformowała świat agencja TASS. Podziękowałem za przyjęcie nas w tak krótkim czasie i przedstawiłem sytuację w Polsce. Poinformowałem o powstaniu Krajowej Rady Narodowej, o działalności ugrupowań lewicowych i partyzanckich oddziałów Armii Ludowej. Następnie przeszedłem do spraw zaopatrzenia w broń. Spychalski powiedział skromnie, że potrzeba nam 20 tysięcy automatów. Stalin na to: „Dajcie im 50 tys.”.

Innym już razem w czasie rozmów politycznych powiedziałem Stalinowi, że mamy zmartwienie, bo nie wiemy, kiedy będziemy mogli zapłacić za używaną broń. ZSRR uzbroił przecież i armię Andersa, i armię Berlinga. Na to Stalin zareago-

— Kiedy rozpoczęły się rozmowy o granicach?

— Gdy ofensywa radziecka zbliżała się do Bugu, trzeba było myśleć o administracji na terenach wyzwolonych. Czechosłowacy podpisali już taką umowę z ZSRR, i myśmy też wzorując się na nich chcieli podpisać. Wtedy Władysław Mołotow podsunął umowę o granicach. Mówił: „Jeżeli my tu mamy decydować o administracji na terenach wyzwolonych, to musimy najpierw wiedzieć, jakie są granice”. Ja stwierdziłem, że sprawa granic jest bardzo poważna, wymaga studiów, zastanowienia. A on powiedział: „Tu chodzi o stosunek do linii Curzona. Już trzy mocarstwa postanowiły w Teheranie, że wschodnia granica Polski przebiegać będzie wzdłuż tej linii. Potrzeba tylko wypowiedzi czynników polskich”. Nie chcieliśmy jednak na ten temat rozmawiać z Mołotowem.

Kiedy przyszliśmy na Kreml, Stalin był nieco zagniewany. Powiedział: „O co im tam jeszcze chodzi, czy Chelmszczyzna do nich czy do nas jest przewidziana?”. Taki był sympatyczny, gdy chodziło o broń i we wszystkich innych sprawach. Rozmowa zaś z granicami okazała się trudniejsza.

Trzeba tu wyjaśnić dwie rzeczy. Chelmszczyzna w okresie zabobów została wyłączona z guberni lubelskiej i siedleckiej i przyłączona w 1912 roku do Cesarstwa Rosyjskiego. Jest to teren na wschód od Lublina sięgający po Bug z ośrodkiem w Chełmie. W traktacie pokojowym w Brześciu w 1918 roku zawartym między Rosją Radziecką a państwami Centralnymi czyli Niemcami, Austro-Węgrami, Bułgarią, Turcją — Chelmszczyzna odtępiona została Ukrainie. Po zawarciu traktatu Ryskiego w 1921 roku powróciła do Polski.

Linia Curzona wytyczona została w czasie konferencji pokojowej po pierwszej wojnie. Rada Najwyższa konferencji zaproponowała dwie linie podziału Galicji Wschodniej: linię „A” przebiegającą na zachód od Lwowa i linię „B” przebiegającą na wschód od tego miasta z pozostawieniem po stronie polskiej także Drohobycza i Borysławia.

W grudniu 1919 roku z inicjatywy polskiej Rada Najwyższa ustaliła terytorialne minimum, na którym powstające państwo mogło organizować swoją administrację. Linia ta przebiegała w przybliżeniu następująco: Grodno, Jajłówka, Niemirów, Brześć Litewski, Dorohusk, Ustług, Granica Polski z Litwą miała przebiegać wzdłuż linii kolejowej Grodno — Wilno a następnie w kierunku Dźwińska.

W kwietniu 1920 roku Piłsudski wyprawił się na Kijów. Okres powódzenia trwał krótko. W krytycznej sytuacji rząd zwrócił się do mocarstw zachodnich z apelem o pomoc. W wyniku czego nowy minister spraw zagranicznych Anglii lord Curzon wysłał do Moskwy notę, w której wyznaczono granicę będącą mechanicznym połączeniem linii „A” w Galicji z linią minimum wyznaczoną w grudniu

NR 29 (1477), XXIX 19 LIPCA 1986 R.

Czy między IX Nadzwyczajnym a X Zjazdem PZPR zwiększył się udział robotników w sprawowaniu władzy? Takie pytanie w połowie maja 1986 r. zadało zainteresowanemu Centrum Badania Opinii Społecznej i uzyskało wyniki, które nie nastrojały optymistycznie. Otóż zdecydowanie tak odpowiedziało zaledwie 8,4 proc. i raczej tak — 29,4 proc., czyli razem było blisko 38 proc. ocen pozytywnych. Tylko tyle. Natomiast stanowczych i umiarkowanych opinii negatywnych odnotowano w sumie aż 48,7 procent. A zatem prawie co drugi respondent nie zauważył zwiększenia udziału klasy robotniczej w rządzeniu krajem. Pozostali respondenci (13,5 proc.) nie potrafili powiedzieć, czy nastąpiły w tym zakresie jakiegokolwiek zmiany.

Podanych wyżej rezultatów nie wolno lekceważyć. A niektórzy politycy, co jest zresztą psychologicznie zrozumiałe, mają skłonność do bagatelizowania opinii, które nie zgadzają się z ich życzeniami i wyobrażeniami. Już Napoleon Bonaparte powiedział: „Opinia publiczna to dziwko”. Pewien biskup zaś podczas obrad II Soboru Watykańskiego stwierdził: „Opinia publiczna jest elementem szatańskim, który przeszkadza wysiłkom Ducha Świętego”. Bardzo symptomatyczne i śmieszne są obie maksymy, lecz w rzeczywistości czynnik subiektywny odgrywa poważną rolę w procesie historycznym. Toteż z powagą trzeba traktować nawet takie opinie, które nie mają obiektywnego uzasadnienia.

Może ktoś postawić pytanie: jaki sens ma wciąganie robotników do udziału we władzy? Czy nie lepiej, żeby każda grupa robiła dobrze to, co do niej należy niejako z definicji? Niech więc rząd rządzi, a ludzie pracy pracują. Taka menedżerska koncepcja jest popularna zwłaszcza wśród kadry kierowniczej, ale nieobca również robotnikom. Z badań socjologicznych wynika, że większość robotników sądzi, iż ludzioro w Polsce bardziej zależy na tym, aby nimi dobrze rządzono, aniżeli na własnym uczestnictwie w sprawowaniu władzy.

Niezależnie jednak od teraźniejszej gotowości do współrządzenia, w systemie socjalistycznym konieczne trzeba rozwinąć demokrację. Wskazuje na to dobitnie zarówno teoria, jak i praktyka. „Socjalizm — uczył Włodzimierz Lenin — nie utworzył się z zarządzeniami z góry. Duchowi jego obcy jest urzędowo-biurokratyczny automatyzm; żywy, twórczy socjalizm — to dzieło samych mas ludowych”. Tak wygląda teoria. Praktyka z kolei dowodzi, że poza autentyczną demokracją nie ma innej drogi przezwyciężenia anormalnego i niebezpiecznego podziału na „my” i „oni”.

Jakie mogą być konsekwencje powstrzymywania się szerokiej masy do czynnego udziału w życiu politycznym? Co może wynikać z braku wiary w sens aktywności politycznej? Na te pytania interesującą i trafną, jak sądzić, odpowiedź dał już dwadzieścia dwa lata temu Konstanty Grzybowski. Pisał on: „Społeczeństwo tak myślące tak reagujące na zjawiska życia publicznego jest na krótki dystans wygodniejsze do rządzenia niż dawne społeczeństwa, przesadnie nieraz, ale z pasją polityczną szukające osobistych winowajców, osobiście odpowiedzialnych. Ale wygodniej nim rządzić tylko na krótki dystans. Takie społeczeństwo zawodzi w chwilach ostrego kryzysu: albo patrzy nań obojętnie (bo i tak «nie się nie zmienia»), albo wtedy wybucha cała, tłumiona długo, pasją szukania winnych, ze wszystkimi następstwami pasji, zaślepienia, uderzenia na ślepo,

MARIAN PODLASZEWSKI

Ludem jest całe społeczeństwo

nie u to, co jest u istocie przyczyną zła, ale u to, co jest trwałą i pozytywną wartością”. Już po napisaniu tych zdań dwukrotnie doświadczyliśmy złowroglej pasji niszczycielskiej i poznaliśmy też nie mniej chybłą groźną apatię.

W celu przeciwdziałania obojętności i wybuchom ślepej pasji Konstanty Grzybowski radził, żeby personalnie określać winnych i odpowiedzialnych. Jeśli bowiem ludzie nie wiedzą, kto dokądnie za co odpowiada, to wówczas uważają, że system jest winien. Należy zatem zawsze wyraźnie mówić, że błąd popełnił taki a taki funkcjonariusz (minister, dyrektor, referent) z imienia i nazwiska, a nie bezosobowo stwierdzać, że winne jest jakieś ministerstwo, jakiś urząd czy komitet.

Pojęcie demokracji posiada m.in. dwie cechy charakterystyczne: po pierwsze — ma emocjonalnie pozytywne zabarwienie, i po drugie — jest wieloznaczne. Definiując demokrację, zgodnie z etymologicznym sensem tego słowa, jako władzę ludu czy ludowładztwo, należy określić zakres pojęcia „lud”. W marksizmie-leninizmie lud tradycyjnie oznacza masy pracujące, a więc tych wszystkich, którzy poprzez swoją pracę wytworząją wartości materialne i duchowe, tworzą kulturę i historię. W skład ludu

wchodzi zatem: klasy robotnicza, chłopska i drobnomieszczańska oraz warstwa inteligencji. Wymienione zbiorowości społeczne żyją z efektów własnej, a nie cudzej pracy i w zasadzie nie istnieją między nimi relacje wyzysku.

O ile na etapie rewolucji mieszczańskich za lud uważano prawie całe społeczeństwo z wyjątkiem szlachty, to w rewolucjach socjalistycznych wyeliminowano ze składu ludu również burżuazję. Na przykład Augustin Thierry podkreślał w 1833 roku, że stan trzeci „tworzy całość narodu z wyłączeniem szlachty i duchowieństwa”. Natomiast Włodzimierz Lenin pisał w czerwcu 1919 roku, że dyktatura proletariatu stanowi szczególną formę „sojuszu klasowego między proletariatem, awangardą mas pracujących a licznymi nieproletariackimi warstwami mas pracujących (drobna burżuazja, drobni właściciele, chłopstwo, inteligencja itd.) bądź ich większością...”. Sojusz ów ma na celu obalenie kapitalizmu i uniemożliwienie jego restauracji oraz zbudowanie i utrwalenie ustroju socjalistycznego.

Zgodnie z koncepcją Lenina w dzisiejszej Polsce ludem jest praktycznie całe społeczeństwo. W zbiorowości tej co druga osoba należy do klasy robotniczej, co piąta do klasy chłopskiej, także co piąta do warstwy inteligencji, i co dwudziesta do klasy drobnomieszczańskiej. Mamy też drobnych kapitalistów, ale jest to niezbyt liczna grupa w mieście i na wsi.

Jeśli demokracja — jak to pierwszy wyraził już w V wieku p.n.e. Kleon — jest „rządem ludu, przez lud i dla ludu”, to w Polsce Ludowej podmiotem władzy mogą i winni być wszyscy obywateli. Dlaczego wobec tego przynajmniej przywrócić miejsce klasie robotniczej? Otóż z bardzo prostych względów. Po pierwsze — jest to jedyna klasa obiektywnie zainteresowana urzeczywistnieniem socjalizmu, czyli stworzeniem społeczeństwa bezklasowego. Po drugie — jest to grupa zajmująca centralne miejsce w strukturze ekonomicznej każdego rozwiniętego kraju, ponieważ u-

ruchamia kluczowe środki produkcji. Po trzecie — jest to najsilniejsza klasa we wszystkich państwach wysokouprzemysłowych. O sile jej przede wszystkim stanowią: liczba, koncentracja, (duże zakłady, miasta) organizacja (związki, partie) i świadomość.

Mówiąc o szczególnej roli robotników, nie można jednak idealizować ich cech charakterystycznych. Lenin trafnie przewidywał, że przez pewien czas po rewolucji dawne obyczaje będą przeważały nad „pędami nowego życia”. Przypuszczał też, że spotka się to z oznakami — jak stwierdził — inteligentnego sceptycyzmu. Nie wykluczał nawet takiej możliwości, że część robotników nie poprze władzy ludowej i długo jeszcze będzie odnosić się do niej nieufnie lub wrogo. W marcu 1919 r. przypominał, że przeciwko robotnikom paryskim stanęli w szeregach wojska robotnicy innych miast, a mimo to komunistom słuszenie głosił, że występują w imieniu całego proletariatu.

Lenin wiedział, że wśród klasy robotniczej istnieje margines ludzi wyklejonych i zdemoralizowanych. Nadzieje na szybką poprawę sytuacji uważał za utopijne i szkodliwe. Wysiłki na rzecz upowszechnienia postaw socjalistycznych traktował jako przejaw walki klasowej. W artykule na łamach „Prawy” 20 września 1918 r. pisał: „Czyż walka klasowa w epoce przejścia od kapitalizmu do socjalizmu nie polega na tym, by bronić interesów klasy robotniczej przed tymi garstkami, grupami, warstwami robotników, które uporczywie trwają przy tradycjach (nawykach) kapitalizmu i wciąż odnoszą się do Państwa Radzieckiego po dawnemu: pracy dać «mu» jak najmniej i jak najgorszej — pieniądze zdreść z «niego» jak najwięcej”. Przykłady złego stosunku do pracy i negatywnych postaw społecznych powinno się, jego zdaniem, publicznie piętnować.

Klasa robotnicza jest kategorią teoretyczną: socjologiczną i historyczną. Toteż na co dzień zwykłe jej nie widać. Spotykamy, po prostu, jednostki i grupy robotników. Jeśli zaś wyraźnie dostrzegamy kontury klasy — jeśli robotnicy jako klasa wstępują na arenę dzieł — jest to przeważnie znak, że coś niedobrego się stało, że wieje wielki „wiatr historii”. Klasę tę można wprawdzie „oswoić”, można oszukać lub przekupić, można zastraszyć i sterroryzować, lecz przecież nie na zawsze. Dlatego robotnicy muszą, nie tylko z racji moralnych, być włączeni w autentyczny nurt demokracji. Powinno to być głównym zadaniem partii po X Zjeździe.

Demokracja robotnicza w państwie socjalistycznym czy budującym socjalizm, to rzecz wydawająca się oczywista. Już w „Manifestie komunistycznym” stwierdzono, że „pierwszym krokiem rewolucji robotniczej jest wyzwoleńcie proletariatu w klasę panującą, wyzwalenie demokracji”. W praktyce jednak, na przykład u nas, różnie z tym bywało, bo przecież niedostatek demokracji w głównej mierze powodował żywiołowe protesty klasy robotniczej. Posierpniowe wydarzenia 1980 roku zwiększyły zdecydowanie społeczny popyt na demokrację w sferze praktyki i teorii, rodząc szereg inicjatyw w rozwijaniu życia społecznego i stawiając pytania o istotę demokracji, o najbardziej skuteczne drogi jej urzeczywistnienia. Jedno z nich dotyczy relacji między demokracją robotniczą a demokracją socjalistyczną, jako że partia sterując procesami rewolucyjnymi winna rozwinąć demokrację socjalistyczną pod kątem widzenia robotniczych interesów.

Wskazywał Karol Marks, że „wyzwolenie społeczeństwa przybiera polityczną postać wyzwolenia robotników nie dlatego, by szło o ich wyzwolenie, lecz dlatego, że ich wyzwolenie zawiera w sobie ogólne warunki wyzwolenia człowieka”.

Istnieje więc szczególny związek między klasą robotniczą a ideologią marksistowską, który wynika z istoty interesu klasowego robotników i sprowadza się do sytuacji, w której partia — awangarda klasy, jej interes realizując, zabezpiecza tym samym interesy znacznie szerszej zbiorowości — ludu pracującego. Tak więc demokracja robotnicza zrodzona z potrzeb i aspiracji robotników, określa istotę demokracji socjalistycznej, demokracji całego ludu pracującego.

Na czym polega istota robotniczej demokracji?

Aby to zrozumieć, aby móc ocenić jej jakość, trzeba sobie uświadomić:

- na ile klasa robotnicza uczestniczy w urzeczywistnianiu ludowładztwa;
- na ile partia tworząc program budowy socjalizmu zabezpiecza interesy robotników, czyli do Lenina „Państwa a rewolucja” się odwołując, na ile podnosi interes robotniczy do rangi programu politycznego;
- czy i jak zwiększa się udział robotników do sprawowania władzy;
- jak zapewnia się byt materialny oraz prawo i wolność przodującej klasie społecznej;
- jak usuwa się nierówności społeczne, stanowiące przeżytek i pozostałość dawnych formacji,

I na jeszcze jedno pytanie należałoby odpowiedzieć. Jeżeli mówimy — demokracja robotnicza, demokracja klasy robotniczej, to o kim właściwie mówimy?

Nie jest to pytanie naiwne, czy zbędne, ponieważ punkty widzenia bywają tu różne, jak choćby wyrażone przez jednego z dyskutantów na XVI Plenum Komitetu Centralnego PZPR pogląd, że „mówiąc o klasie robotniczej należy rozumieć pod tym określeniem wszystkich ludzi pracy z sektora państwowego”.

Wydaje się, że szukając odpowiedzi można by przyjąć następujące stanowisko: robotnik to „ten, kto jednocześnie jest pracownikiem najemnym, wykonuje pracę fizyczną i nie pełni funkcji kierowniczych”. Definiując demokrację robotniczą, należałoby więc wskazać na te grupy społeczne, które w tym zakresie wykazują się w sposób szczególny. Demokracja robotnicza może też rozważać w znaczeniu szerszym znaczeniu, jako demokrację kierowaną przez partię robotniczą, formującą otaczającą rzeczywistość zgodnie z robotniczym punktem widzenia. W tym wymiarze demokracja robotnicza utożsamia się z demokracją socjalistyczną.

WARUNKI I DROGI ROZWOJU

Praktyka społeczna, a przede wszystkim — życie codzienne wykazuje, że klasa robotnicza jest w sposób szczególny wyzwalona na sprawę demokracji. Przy czym mówiąc — demokracja robotnicza ma przede wszystkim na uwadze sprawiedliwość — rozumianą jako konsekwentna walka z przejawami społecznego, oraz równości — ocenianą przez pryzmat walki z nieuzasadnionymi przywilejami i życiem ponad stan.

Aby to zrozumieć trzeba znać sytuację tej klasy i w przeszłości, i obecnie.

Proces rozwoju demokracji robotniczej rozpoczął się w naszych warunkach ponad 40 lat temu i pozostaje tylko odpowiedzieć na pytanie — czy programowi nobilitowania klasowych interesów robotniczych w pełni, a jeżeli nie — to na ile od-

powiada praktyka polityczna i społeczna? Trzeba sobie uświadomić, jakie zmiany dokonały się w tym zakresie w polskiej klasie robotniczej, ponieważ odpowiedź na to pytanie stanowi istotny przyczynek do rozważań nad procesem formowania się robotniczej demokracji.

Były to — przemiany ilościowe. Rozpoczęły się one już od pierwszych dni ludowej państwowości, a zintensyfikowały w okresie Planu 6-letniego, w okresie budowy podstaw socjalizmu w Polsce, kiedy to w latach 1950—1955 liczba zatrudnionych w przemyśle robotników uległa znacznemu zwiększeniu. Ekstensywny charakter rozwoju gospodarki utrzymany w latach 60-tych, spowodował dalszy wzrost zatrudnienia w sferze produkcji.

kształtowanie się podwójnej pozycji klasy robotniczej. Występuje ona jako grupa społeczna w roli klasy panującej i pracującej. Ta podwójna rola stanowi podstawowy wyznacznik przewodniej roli klasy robotniczej w społecznych strukturach. Z tytułu, iż jest klasą panującą, może swoje klasowe widzenie rzeczywistości zaszczepić innym grupom społecznym, własne idee i poglądy czynić panującymi. Ale jednocześnie z faktu, że jest także klasą pracującą bierze się jej realizm, wyzucie na zło społeczne, potrzeby demokracji. Dotychczasowe klasy panujące usilnie starały się narzucić społeczeństwu wygodny dla siebie, lecz fałszywy obraz świata i stosunków społecznych. Dwójsta pozycja klasy robotniczej wyklucza po-

tworzenie się tych zjawisk.

I wreszcie tych przemian jakościowych element najistotniejszy. Otóż w procesie budownictwa socjalizmu robotnicy utwierdzali się w przekonaniu, że władza powinna być ich władzą nie tylko w tym sensie, że działa w ich interesie. Taki paternalistyczny stosunek na wszelkie cechy półrośki. Władzę ma się wtedy, gdy samemu się w tej władzy bezpośrednio uczestniczy i samemu kształtuje się swój byt.

Stawiano po sierpniu 1980 roku wielokrotnie pytanie — co legło u podstaw ograniczania demokracji, wady w mechanizmach politycznych — a więc czynniki w jakimś stopniu obiektywne, czy zła wola kierownictwa — a więc czynnik jednoznacznie subiektywny i odpowiadano najczęściej, iż rzecz sprowadza się do wad w mechanizmach.

Nie negując tego czynnika przyjąć jednak trzeba, że była to także zła wola przejawiająca się w drobnomieszczańskich kanonach i manierach, a spłot tych czynników spowodował spustoszenia w sferze demokracji. Dodać też należy, że zachodzi wyraźny związek między jednym a drugim, jako że zła wola przejawiać się mogła tylko w warunkach usterek czy deformacji w mechanizmach politycznych.

Ważnym dla zrozumienia istoty robotniczej demokracji zjawiskiem jest u-

kształtowanie się podwójnej pozycji klasy robotniczej. Występuje ona jako grupa społeczna w roli klasy panującej i pracującej. Ta podwójna rola stanowi podstawowy wyznacznik przewodniej roli klasy robotniczej w społecznych strukturach. Z tytułu, iż jest klasą panującą, może swoje klasowe widzenie rzeczywistości zaszczepić innym grupom społecznym, własne idee i poglądy czynić panującymi. Ale jednocześnie z faktu, że jest także klasą pracującą bierze się jej realizm, wyzucie na zło społeczne, potrzeby demokracji. Dotychczasowe klasy panujące usilnie starały się narzucić społeczeństwu wygodny dla siebie, lecz fałszywy obraz świata i stosunków społecznych. Dwójsta pozycja klasy robotniczej wyklucza po-

JAKIE PERSPEKTYWY?

Bieżąca dekada to odrabianie strat, to tworzenie klimatu dla odradzania się robotniczej demokracji, która stanowi jedną z podstawowych przesłanek kreowania podmiotowej roli klasy robotniczej. Nierozwój związki demokracji z utrwalaniem pozycji klasy robotniczej jako wiodącej siły w społeczeństwie podkreślano w dokumentach IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. Stwierdzono, że „wielką powinnością partii jest czynienie wszystkiego, aby przodująca rola klasy robotniczej w społeczeństwie znajdowała potwierdzenie we wszystkich dziedzinach życia publicznego”.

Charakter tych głosów trafnie oddaje jedna z wypowiedzi: „Ludzie pracy, czuli na krzywdę społeczną, podkopywali obecną sytuację polityczną i ekonomiczną zapytali wprost: «Czy jest zmiana w Polsce sprawiedliwości społecznej?». Trudno się dziwić tym pytaniom, skoro ludzie pracujący uczciwie i rzetelnie ledwo wiążą koniec z końcem, a różni spekulanci stronią od pracy, żyją w dostatku. Nasza partia, jeśli chce zyskać autorytet i zaufanie musi skutecznie zwalczać zjawiska społecznej niesprawiedliwości”.

Uczestnicy XVI Plenum KC PZPR w przyjętej rezolucji stwierdzili: „Klasa robotnicza jest przodującą siłą naszego narodu, jest wyrazicielem i obrońcą ideałów sprawiedliwości społecznej”.

I tym się kierując umieszczono w rezolucji postulaty następujących działań: powołanie Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej — jako instytucjonalnej formy bezpośredniego wpływu klasy robotniczej na funkcjonowanie organów państwa; zwiększenie udziału robotników w radach narodowych jako najszerzej przedstawicielstwa sprawowania przez klasę robotniczą czołowej roli politycznej w państwie, zwiększenie udziału i aktywności robotników w związkach i samorządzie społecznym, gdzie na przykład rady pracownicze, ze względu na swą powszechność oraz łączenie elementów demokracji przedstawicielskiej z bezpośrednią stają się jednym z głównych filarów demokracji robotniczej.

W referacie Komitetu Centralnego na X Zjeździe PZPR stwierdzono, że „w socjalistycznej demokracji fundamentalne znaczenie ma siła robotniczego udziału, głosu i wpływu na wszystkie procesy społeczne”. Podkreślono, że „działając we wszystkich środowiskach ludzi pracy, partia wysuwa na czoło rolę i aspirację klasy robotniczej. Dziś jeszcze część robotników nie ma przekonania, że ich głos jest uważnie słuchany. Naszym obowiązkiem jest czynić wszystko, by czuli się w pełni współgospodarzami swego zakładu i kraju. Wzrost udziału robotników w składzie partii, zwiększenie w niej robotniczej aktywności, krytycyzmu i wpływu na decyzje — jest sprawą najwyższej wagi”.

Pisał przed laty Karol Marks, że „stary świat należy do kołtuna”. Umocnienie robotniczej demokracji stawia skuteczną zapórę na drodze aspiracji kołtuna do usytuowania się w nowym świecie.

Jak już mówiłem, w „Oliwii” panował niepokój, a ściślej chaos. Mnie się wydawało, że wielu delegatów szło za głosem swoich liderów bez zastanowienia się, co może oznaczać wytyczony przez nich kierunek marszu. Różne były przyczyny zaufania, jakim wielu robotników obdarzało przywódców „Solidarności”. Jedną z nich było rozczarowanie do działaczy „starych związków”, a także do organizacji partyjnych.

Wśród delegatów na zjazd niewątpliwie istniał i dawał o sobie znać nurt robotniczy, lub jak kto woli, czysto związkowy. To właśnie z tego nurtu wyszła krytyka roli, jaką w „Solidarności” odgrywali eksperci i doradcy. Zygmunt Zawojski, robotnik z Regionu Podkarpackiego, członek ustępującej KKP, stwierdził, że stopniowo przestawiano się liczyć z głosami robotników zasiadających w Komisji. „Jestem robotnikiem — mówił — i we wrześniu ubiegłego roku, czy potem w grudniu, w KKP potrafiłem znaleźć z innymi członkami wspólny język. Później zaczęliście ludzi wymienian i napyliwać coraz to nowi filozofowie, z którymi nie można było się dogadać. Obserwując ludzi w KKP doszedłem do wniosku, że robotnicy coraz mniej zabierają głos, że nie mogą znaleźć dla siebie miejsca wśród potoku intelektualnej gadaniny. Pytam się: gdzie są ci, co podpisali dokument rejestracji Związku? Bo to byli pełnoprawni członkowie KKP. Siedzą dzisiaj na trybunach jak goście i obserwatorzy (brawa). Uważam, że odeszli z KKP dlatego, że jako robotnicy nie mogli dla siebie znaleźć tam miejsca. Od pewnego czasu przestano się z nimi liczyć... Mam na koncie do delegatów prośbę, że gdy będziecie wybierać członków Komisji Krajowej, to zastanówcie się dobrze, kogo będziecie wybierać”. Andrzej Zajac z Regionu Podbeskidzie wypowiadał się krytycznie o sprawozdaniu KKP („w sprawozdaniu KKP nie ma nic o tym, co KKP zrobiła dla ludzi pracy”) powiedział m. in.: „Chciałem się spytać, dlaczego zapomniano o związkowcach? Chyba jest jedna wielka prawda, że kolegę Wałęsę obsiedli uczeni jak stonka i to trzeba zwalić z niego, wybrać mu trochę robotników (brawa). Koleżdy uczeni są nam potrzebni — oczywiście — bo muszą nam doradzać, ale nie za nas decydować. Na to ja jako robotnik nigdy się nie zgadzam. Uważam, że nasi generałowie, również niektórzy pozapominali, skąd się wywodzą. Zaczęli myśleć o pieniądzach, samochodach i innych rzeczach. Boję się, proszę państwa, że za dwa lata będzie ich ciężko oglądać...”

Nie zabrakło wypowiedzi, która głosiła wręcz, że dotychczas politykę i taktykę Związku wyznaczali eksperci i doradcy. Należy z tą tradycją zerwać natychmiast; grzmiał delegat. Z poprzednich wystąpień, mówił, widać, że „Rulewski podgrzywa Wałęsę, Wałęsa podgrzywa Gwiazdę, Gwiazda może Bujaka, a może kogo innego”. I zapytywał: „Czy w tym gnieździe szerszeni — przepaszam, że przejęskrawiam — czy jest możliwe osiągnięcie naszych celów nadrzędnych, ochrona interesów ludzi pracy? Czy jest interes jeden — walka o stółki, walka o to, kto będzie tym wodzem naczelnym, tym dyktatorem, czy innym przywódcą — naj-mądrzejszym w tym Związku? (brawa). My nie chcemy, dla nas nielotne są nazwiska, dla nas jest istotny cel Związku — ochrona interesów klasy, wszystkich ludzi pracy”. Na nowo wybrana Komisja Krajowa, postulował inny delegat, powinna liczyć się z głosem załóg, „z głosem idącym od dołu”. Delegat z Dolnego Śląska Jan Sek wyraził pogląd, że sprawozdanie KKP zmusza do postawienia pytań: „Czy rzeczywiście jesteście Związkiem ludzi pracy... My jako delegaci pojedziemy do domu, do ludzi pracy i będziemy musieli powiedzieć tak gorzko prawdę, taką, że nie wszystko jest najpiępiej. A taka jest właśnie prawda. Będziemy musieli powiedzieć to, że doradcy znaleźli parasol. „Solidarność” stała się dla nich parasolem, gdzie się schowali i tu jest im wygodnie... Chciałbym dodać jeszcze jedną rzecz na zakończenie, że szeregowym członkom Związku nie zależy na tym absolutnie, czy nasz Związek będzie się zwał „Solidarność”, czy inaczej, zależy im na tym, aby był to Związek, który będzie godnie bronił ludzi pracy, ich interesy, będzie dbał o warunki pracy i godziwą zapłatę za pracę”.

Kolejny delegat, Stanisław Synkowiak z Zielonej Góry powiedział m. in.: „Wyborcy uważają, że KKP z dużym powodzeniem mogłaby grać w westernach i filmach przygodowych i to nie dlatego, że są tacy przystojni, tylko dlatego, że działalność ich przypomina balansowanie nad przepaścią... Dodatkowo tutaj dowiadujemy się i jesteśmy zobowiązani przekazać stan i obraz dyscypliny wśród członków KKP, a w szczególności wśród Prezydium. To są wręcz — a dość żenujące i przyznam się, że z pewnym wstydem będę mówił o tym swoim wyborcom, a do mówienia prawdy jestem zobowiązany przez nich samych i przez własne przekonania. Rozgrzywiły personalne, te, które mają miejsce tutaj na tej sali i miały miejsce w KKP, są także żenujące. To, że dwóch członków Prezydium spotyka się w drzwiach i nie podaje sobie ręki, to uważam, że jest to również sprawa mocno żenująca. Odbiciem tych wszystkich stosunków było sprawozdanie KKP, które zostało nam tutaj przedstawione. Takich sprawozdań przez trzydzieści siedem lat nazywałem się dużo, sprawozdań o wszystkim i o niczym, napisanych bardzo na okragko... W tym sprawozdaniu nie została oceniona realizacja porozumienia z Gdańska, Jastrzębia, Szczecina i Katowic. To jest niedopuszczalne (oklaski)...”

Jeden z delegatów z Dolnego Śląska wypowiadając się na temat przyszłego kierownictwa Związku powiedział m. in.: „Ludzie pracy, których znam, nie popierają ryzykantów. Umiarkowanie jest tym, czego żądają. Przyszła KKP będzie na tyle dobra, na ile będzie wyrażać wolę większości ludzi naszego kraju, a nie ugrupowań politycznych różnego typu”. Delegat z Regionu Podbeskidzia mówił: „Stoimy przed wyborami do naszych władz... kogo w związku z tym mamy wybrać? Czy tych samych ludzi, którzy zdążyli już wiele złego zrobić?... Powinniśmy już teraz, jak jeszcze jest czas, ogłosić nasze władze z ludzi interesownych, egoistycznych i po prostu głupich, którzy dla zaspokojenia własnych ambicji prowadzą nas w śle-

pą uliczkę. Zarzucamy władzom państwowym ukrywanie prawdy przed społeczeństwem. Sami jednak już w pierwszym roku działalności robimy to samo. Ukrywamy prawdę w obawie, że ludzie mogliby z prawdy wyciągnąć właściwe wnioski i ocenić je”. Piotr Elmont z Gdańska przestrzegając: „Proszę zauważyć, że niektórzy tu pięknie mówią, patrzą nam w oczy badawczo i czarują nas słowami „demokracja”, „niepodległość kraju, rewizja układów handlowych, a może paktów wojskowych. Który z Polaków nie podpisze się pod hasłem „demokracja”, „niepodległość”. A niektórzy chcą nas nawet zbawić i rozstrząsają uroczę wizję, że za 15 miesięcy to my będziemy mieli „Eldorado”. Że przepłynę pieniądze z jednej kieszeni do drugiej sprawie, że zaczniemy być bogaci. Czy pamiętacie, jak nam Gierek pięknie wizję rozstrząsał? Jak nas to porwało, tak jak teraz porwa nas wizja Kurowskiego”.

No, ale dość chyba tych obszernych cytatów. Posłużyłem się nimi świadomie, by dowiedzieć, że wówczas, gdy odwoływaliśmy się do robotni-

mi, musieliśmy przejść PZPR, by dopuścić pan do siebie myśl o współdziałaniu z tą partią?”. W odpowiedzi usłyszał, że o „zadnym współdziałaniu nie może być mowy, że dobrze tę partię znam”. Nie ulega wątpliwości, że nurt awanturniczy dominował w hali „Oliwii”. Z tego nurtu wyszło niechętnego państwu oraz jego instytucjom nie mogły, niestety, wyjść żadne impulsy, które zbliżyłyby do idei porozumienia narodowego. Przedstawiciele nurtu awanturniczego w hali „Oliwii” osławiali delegatów i cały Związek z myślą o nieuchronności konfrontacji.

— 2 października zjazd „Solidarności” dokonał wyboru przewodniczącego Związku. Został nim jak było do przewidzenia Lech Wałęsa. Interesuje nas Twoja ocena przebiegu wyborów.

Na wstępie trzeba przypomnieć, że o stanowisko przewodniczącego ubiegały się cztery osoby — Andrzej Gwiazda, Marian Jurczyk, Jan Rulewski i Lech Wałęsa. Z informacji, jakie otrzymywałem, wynikało, że w kuluarach zjazdu toczyła się ostra walka wyborcza. Kan-

cisnąć i bardzo chytrze, po prostu zakrecając nam kurki, a mogą to zrobić, jeżeli nie będziemy ich jako tako kochać”. Skarżył się też, że partner, tj. rząd, „faktycznie krok po kroku, w sposób zorganizowany podważa nam wiarygodność, podważa zaufanie w społeczeństwie”. Nie wierzy, zaklinał, „w nasza fenomenalna mądrość i naprawdę wielką siłę. Nie raz ta siła wprowadziła nas na złe drogi, może tym razem też nas wyprowadzić”. Były to bardzo znamienne nawoływania. Jestem pewien, że Wałęsa miał „przez głowę”, iż jego Zw. „konsekwentnie realizując politykę negacji wszystkiego, co głosiła i czyniła partia oraz rząd, nie zyskuje, lecz traci na popularności. Lansowanie tezy, że całe społeczeństwo popiera „Solidarność”, było wymysłem jej propagandystów.

Kandydatom na przewodniczącego Związku delegaci mieli prawo zadawać pytania. Nie uniknął ich także Lech Wałęsa. Pytań było sporo. Jeden z delegatów zapytał: „Jak pan sobie wyobraża współpracę Komisji Zakładowych „Solidarności” ze wsią? Czy w okresie zimy ma obowiązywać zasada rekwiizycji?”. Odpowiedź Wałęsy była tak oryginalna, że warto ją przytoczyć. To zależy, powiedział, jak ten partner, czyli rząd będzie grał. Jeśli będzie chomikował, jeśli będzie chciał nas wykończyć głodem, to „wtedy damy polecenie, by każdy robotnik miał swojego rolnika. I ratuj się kto może. To będzie rozwiązanie jedno. Ale jednocześnie planuję, że każda Komisja Zakładowa ma jedną wioskę. Pojedzie, spotka się z sołtysiem, z całą wsią i zapyta, co Wam przeszkadza, jeśli nie dacie świni, to my się zjemy w miastach...”. Itd. itp. Nie muszę chyba wyjaśniać, że tego rodzaju koncepcja stosunków pomiędzy miastem a wsią we współczesnej gospodarce mogła wywołać jedynie wzruszenie ramion. Na pytanie, na czym polega partnerstwo między „Solidarnością” a PZPR Wałęsa odpowiedział krótko i węzłowo: „Nie, proszę państwa, nie żęćcie kota z psem”. Zapytano również Wałęsę, czy będzie proponował Rulewskiego na funkcję wiceprzewodniczącego. Odpowiedział, że „na pewno nie podam. Na pewno z Jasiem Rulewskim pracować nie będę. Mam swoje powody”. Tą wypowiedzią potwierdził jedynie to, co od dawna było znane każdemu, kto śledził rozwój sytuacji w kierownictwie Związku. Stosunki pomiędzy Wałęsą a Rulewskim od wydarzeń bydgoskich nie były dobre. Wałęsa podejrzewał Rulewskiego, że świadomie, z rozmysłem prowokował władze.

W piątek o godzinie 18.15 sala odśpiewała „Sto lat” nowemu przewodniczącemu Komisji Krajowej. Został nim Lech Wałęsa. Otrzymał 462 głosy, czyli 55,2 proc. głosujących. Jurczyk 201 (24,1 proc.), Gwiazda 74 (8,84 proc.) i Jan Rulewski 52 (6,21 proc.). Sumując głosy oddane na tę trójkę można powiedzieć, że ekstremiści otrzymali 327 głosów, czyli 39,15 proc. głosujących. Jednakże najbardziej zastanawiający był wynik uzyskany przez Lecha Wałęsę. Człowiek kreowany na bohatera narodowego, noszony na rękach, przed którym zginął się bardziej niż wpół niektórzy luminarze naszej kultury, doktor „honoris causa” wówczas dwóch uniwersytetów (później doszły następne), zajmujący stałe miejsce na czołówkach prasy burżuazyjnej uzyskał tylko 55 proc. głosów. Jak to się stało?

Można by na ten temat długo rozprawiać. Nie ulegając jednak pokusie, należy stwierdzić, że Wałęsa zbierał żniwo lekceważenia przez wiele miesięcy działalności radykałów, stałego kluczenia pomiędzy „tak” i „nie”, swą bezgraniczną wiary w to, że potrafi każdego przechytrzyć itp.

Pozostając jeszcze przez chwilę przy nowym przewodniczącym warto odnotować niektóre jego myśli wypowiedziane na konferencji prasowej, która odbyła się po wyborach. Fragmenty zapisu z tej konferencji ukazały się w „Sztandarze Młodych”. Jeden z dziennikarzy zapytał go, czy wynik wyborów nie jest dla niego ostrzeżeniem, czy nie wynika z nich, że należy bardziej wsłuchiwać się w opinię dołów. Owszem, odparł Wałęsa, trzeba będzie więcej czasu poświęcać na wyjazdy do zakładów pracy, ale co się dotyczy wyniku wyborów, to on „celowo źle wypadł podczas swej mowy programowej, by „Zobaczyć czy zostanie oceniony za gadanie, czy za to, co dotąd zrobiłem. Dobry majstersztyk mi wyszedł”. Trzeba przyznać, że wcale żęćnie wybrnął z niezbyt korzystnej dla siebie sytuacji, jaka powstała w wyniku rzeczywiste pustego przemówienia wyborczego. Na pytanie, jakie widzi tematy do rozmów z rządem, Wałęsa odpowiedział, że „mogą być dwa kierunki. Możemy zostać zatakowani za ten plakat z widelcami i trupa czekając zaraz po zjeździe PZPR. A po naszym zjeździe mogą powiedzieć, że to, co się tu działo to błażnada. Jednocześnie myślę, że ten kierunek nie będzie szedł. Przyjęty będzie drugi — że radziliśmy się, prawda, nieudolnie, ale w sumie jest nadzieja”. Jak widać, Wałęsa doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co oznaczał wspomniany plakat. Nie mylił się także w ocenie swego zjazdu. Za najciekawsze jednak uważam ostatnie zdanie tego fragmentu jego wypowiedzi. W istocie rzeczy. Wałęsa potwierdził istnienie po stronie rządu dobrej woli, chęci osiągnięcia porozumienia z „Solidarnością”, mimo że zarówno on, jak jego przyjaciele niejednokrotnie z nieukrywana wrogością odnosili się do nas i nie przebiegali w środkach, o czym dobitnie świadczył także ów plakat. Wałęsa liczył zatem na wyrozumiałość czynników rządowych? Na pewno tak, ale nie byłby sobą, gdyby nie powiedział części, co z miejsca nakazywało podać w wątpliwość jego partnerstwo. Na pytanie — stwierdzenie: „jest nam rzecznikiem kompromisu...” Wałęsa odpowiedział: „W dalszym ciągu się nie rozumiemy. Naprawdę nie jestem zwolennikiem kompromisów. Uznałem kompromis na dziś, ale do sprawy powracam... A w ośle jestem radykałem. Staram się jedynie na dziś nie przegrywać”. No i bądź tu mądru!

C.D.N.

NR 29 (1477), XXIX 19 LIPCA 1986 R.

Czasy nadziei i rozczarowań

(9)

Każdy robotnik miał mieć swojego rolnika

MIECZYSLAW F. RAKOWSKI

czego nurtu w „Solidarności”, nie przebywałem w świecie złudzeń. Przytoczone opinie faktycznie potwierdzają słuszność sformułowanych przez nas zarzutów pod adresem przywódców, doradców i ekspertów, że nadawali Związkowi charakter ruchu politycznego i to opozycyjnego w stosunku do istniejącego ustroju. Wielu robotników, członków „Solidarności”, myślało tak samo jak my w rządzie. Rzadko jednak zdobywali się na odwagę powiedzenia głośno tego, co myśleli. Daleki jestem od obwiniania ich o brak odwagi. Działala przeciw ogromna presja regionalnych i krajowych demagogów, poczucie wspólnoty robotniczej a także obawa, że ujawniony krytycyzm zostanie przez władze wykorzystany do atakowania wodzów, a szczególnie Lecha Wałęsę, który w oczach wielu robotników był bez wątpienia symbolem uzasadnionego sierpniowego robotniczego protestu. Trzeba te postawy rozumieć. Robotniczy nurt w „Solidarności” oraz nadzieje, jakie wiązały z tą organizacją robotnicy, wymaga bardzo solidnego studium.

Na marginesie zacytowanych wypowiedzi warto — jak sądzę — przyszył badaczom tego okresu wpisać do sztabu następującą myśl: miliony robotników oczekiwały od Związku, do którego wstąpiły dziesiątki, które potwierdzałyby, że ich protest wobec krzywdy społecznej, niesprawiedliwości, nadużyć władzy, lekceważenia godności człowieka pracy, itp. był uzasadniony. Tymczasem, w miarę jak oddalano się od sierpnia 1980 roku mnożyły się rozczarowania.

Co się tedy zjawiło, to antypaństwowe i antyrządowe wypowiedzi, a także w tym samym duchu utrzymane uchwały, rezolucje i wreszcie przyjęty program, przykryły, jeśli można tak się wyrazić, robotnicze głosy. Rządowe apele o przyjęcie kompromisowych rozwiązań, np. na temat ustaw sejmowych, o samorządzie i przedsiębiorstwach państwowym, były zdecydowanie odrzucane. Można by więc niemal bez końca cytować opinie ekstremistów lub ściślej rzyerzy prawicowego, faktycznie reakcyjnego nurtu w „Solidarności”, którzy w „Oliwii” wyrażali i jednoznacznie demonstrowali wolę walki o władzę. Mikołaj Gniński, delegat z Pomorza Zachodniego, wołał z trybuny, że jeżeli „Solidarność” zechce budować samorządy stosując się do ram ustawowych, to sprawa samorządu jest przegrana. Andrzej Gwiazda proponował, aby wpływ państwa na przemysł ograniczyć do produkcji sprzętu wojskowego choć — dodał — byłoby lepiej żeby samorząd decydował czy mu się opłaca produkcja zbrojeniowa. Andrzej Rozpłochowski domagał się pozbicia z zakładów pracy zakładowych komitetów partii. Bogdan Lis żądał cięć „w dziedzinie zbrojeń”. Inny delegat, niejaki Kipiela, zapewniał delegatów, że „rząd będzie się starał za wszelką cenę nas sprowokować do konfrontacji”. W dyskusji występowali nawet tacy mówcy, którzy dowodzili, że latem 1980 roku nie należało zawierać porozumienia, lecz podjąć walkę z władzą. Krytykowano także porozumienie warszawskie podpisane przez Wałęsę i przede mną. Sprawozdawca „Sztandaru Młodych”, Ryszard Nałecz-Kiewicz, autor interesujących i na ogół trafnych komentarzy o zjeździe, w jednym z nich przytoczył pytanie, jakie zadał K. Świtonowi. Brzmiało ono: „Jakie prze-

dydaci, może najmniej Wałęsę, zaciekle walczyl o głosy. Co się dotyczy politycznej charakterystyki kandydatów, to z całą pewnością pierwszych trzech można spokojnie określić jako reprezentantów nurtu radykalnego, awanturniczego, który wykazywał swą żywotność nie tylko na zjeździe. Każdy z kandydatów otrzymał, o ile pamiętam, dziesięć minut na wygłoszenie programowego przemówienia. Andrzej Gwiazda nie był zbyt oryginalny. Mówił o pogłębiającym się kryzysie obarczając państwo pełną odpowiedzialnością za pogarszanie się warunków życia, i pisał horrendalne głupstwo mówiąc, że z danych Ministerstwa Finansów dostarczonych przez tamtejszą „Solidarność” wynika, iż 25 proc. dochodu narodowego jest przeznaczane na spożycie społeczne, łącznie z budownictwem mieszkaniowym, a 75 proc. na utrzymanie państwa i państwowych instytucji. Tak więc, oświadczył, co dzień tylko dwie godziny pracujemy na siebie, a sześć godzin dla państwa. Gwiazda nie cofał się przed żadną demagogią, chociaż on, człowiek wykształcony, powinien był choćby przez chwilę zastanowić się nad wiarygodnością takiej informacji. Jeśli pod określeniem „utrzymanie państwa” rozumieć wydatki na obronność, placę dla tzw. zawodów budżetowych (nauczyciele, lekarze, urzędnicy itd.) różnego rodzaju świadczenia z budżetu państwa, to nie przekraczają one 15 proc. No, ale przecież nie chodziło o prawdę.

Marian Jurczyk mówiąc o taktyce i strategii Związku wobec rządu krótko i węzłowo oświadczył, że jest zwolennikiem kontynuowania kursu twardego, zdecydowanego i nieustępliwego. „Kompromisów nie ma”. Nie cofnął się także przed zwyczajnym kłamstwem mówiąc, że Komitet Centralny i „nasz rząd pozwoliły sobie... wydać oświadczenie mówiące, że użyją wszelkich środków włącznie z rozłaniem krwi”. Jan Rulewski na wstępie przedstawił się jako człowiek, który przez siedemnaście lat walczył „przeciwko władzy, przeciwko tej rzeczywistości, poprzez wzięcie... itd. itp. Zapomniał tylko dodać, że znalazł się w więzieniu za dezercję i próbę nielegalnego przekroczenia granicy. Uznał, że błądem było to, iż „chodziliśmy na kompromisy polityczne”. Oceniając politykę zagraniczną Polski Ludowej stwierdził, że jej „jedynymi filarami były strzały Deyny i Laty oraz trele i śpiewy Mazowsza i Śląska”. Dla Rulewskiego, trwające od 1945 roku poczucie bezpieczeństwa narodowego, sojuszu z sąsiadami, trwałość granicy na Odrze i Nysie, Plan Rapackiego i wiele innych historycznych osiągnięć polskiej polityki zagranicznej nie miały żadnego znaczenia. I tacy to ludzie chcieli mieć decydujący wpływ na dzieje naszego narodu. Jego wypowiedzi na temat polityki Związku wobec rządu, w sprawach gospodarczych i innych były na tak żenująco niskim poziomie, że szkoda na nie jednej linijki napieru. Dodać jednak trzeba, że ten „nieodpowiedzialny megaloman”, jak określono go w kuluarach, został owacyjnie przyjęty przez delegatów.

Lech Wałęsa na czoło swych wyznań wysunął myśl, że niepokoi go „jedna rzecz, że nie doceniamy partnera, za bardzo uwierzyliśmy w siebie”. Kilkakrotnie powtórzył, że „idziemy w bój”. Zbliża się zima, perorował, „mogą nas do-

Z okazji wyboru pana na prezesa Związku Literatów Polskich, a także z okazji jubileuszu 70-lecia urodzin nie było czasu na wywiad z panem. Trudno więc o oryginalne pytania, takie, które byłyby w stanie zafrapować pana i zainteresować przyszłych czytelników naszej rozmowy. Ponieważ każde pismo ma swój, określony krąg odbiorców, także „Odgłosy”, w których dotąd takiego wywiadu nie było, myślimy, iż z czystym sumieniem można wrócić do znanych skądinąd tematów i wątków. Chcielibyśmy rozmawiać z panem przede wszystkim jako z znanym i uznanym pisarzem, który uzyskał autentyczny sukces czytelnicy. Ale także chcielibyśmy rozmawiać z Wojciechem Żukrowskim, jako prezesem Związku Literatów Polskich, prezesem, który obejmuje swoją funkcję w okresie dla tej organizacji szczególnie trudnym. Chyba nie było w jej powojennej historii sytuacji tak skomplikowanej, kiedy trzeba tę organizację odnowić, na nowo konsolidować i wyprowadzić na proste drogi. Może więc zechce pan podzielić z nami swoją opinię o sprawach związkowych?

— Najważniejszym obowiązkiem dla mnie jest w tej chwili, aby nie uронić z tego, co zostało dokonane w przeszłości i możliwie szybko i sprawnie pociągnąć prace związkowe dalej. Jeśli chodzi o majątek trwały ZLP: posiadamy dwa duże domy pracy „wórczej”, w których w odpowiednich mieszkaniach wypoczywają nasi koledzy i ich rodziny. Chodzi o Zakopanę i Obory. Są to domy bardzo zużyte, od kilkudziesięciu lat nie przeprowadzono w nich remontów kapitalnych, nie wymieniono wyposażenia. Mają zniszczone urządzenia wodociągowe i skorodowane rury. Możecie się podzielić ze mną, że zaczynam rozmowę od tych drobiazgów, że zajmuję się rzeczami zamiast zajmować się ludźmi. Bo np. Jarosław Iwaszkiewicz był ponad to wszystko, prowadził „wielką politykę”, ale też miał on te domy w stanie co najmniej dobrym. To samo można powiedzieć o innych składnikach majątku Związku. Było mu pod tym względem o wiele łatwiej. Także jeśli chodzi o sprawy ludzkie. Wychodząc z wojny, także i potem dążyliśmy raczej do jednoczenia się, a nie dzielenia. Podczas gdy dziś jest tyle zdumiewających zapiekłej nienawiści. A u jej podstaw można znaleźć nie tylko ambicyjne różnice, ale i wyraźne interesy materialne. Na to już żadnego wpływu — ani ja, ani zarząd — nie mamy! Napierano na nas — aby podjąć inny wątek — by do Związku przyjmować co wybitniejszych tłumaczy, zwłaszcza tych, co uprawiają esesistykę literacką. Ale oni do nas się specjalnie nie garną, bo nagle rozmakowali się w swojej odrębności. Co nas odróżnia spośród powstałych co stowarzyszeń autorów czy tłumaczy — pozostawiając na boku bardzo ważną tradycję ZLP — to pewne ulgi podatkowe fiskusa dla naszych członków. Nie są one aż tak wyjątkowe, żeby stanowiły główny powód do jednoczenia się... Najważniejszą sprawą jest oczywiście twórczość i chęć szybkiego oglądania swojej książki, która tymczasem w maszynopisie coraz dłużej krąży po wydawnictwach. Proces druku jest haniebnie długi: od trzech do ośmiu lat, jak udowadniał mi to niektóry koleś. Jeśli np. ja książkę piszę trzy lata, trzęsę się z ciekawości, a więc razem sześć, to mając lat siedemdziesiąt ileż tych książek mogę jeszcze wydać? Jedną, dwie. W podobnej sytuacji znajduje się bardzo wielu kolegów, którzy jeżeli nie mają wznowień, to właściwie poza bardzo skromną emeryturą nie mają z czego żyć.

— I przestają właściwie istnieć jako pisarze. Umykają u wadze nowych czytelników, którzy co roku dochodzą...

— Jeżeli to są starzy pisarze i mają te piętnaście książek wydanych to jeszcze ich nazwisko może zostać zarejestrowane w pamięci nowego pokolenia. Natomiast z debiutantami jest gorzej: to jest za każdym razem w cyklu pięcioletnim kolejny debiut. Bo nie ma regularnych wznowień, które by zapewniały autorowi ciągłość istnienia na polce i w pamięci czytelnika. Stąd też dążenie do coraz bardziej skomercjalizowanej literatury — ta ma przynajmniej szansę na częstsze wznowienia

— pewno ze szkodą dla sztuki. Myślę, że może ma rację kolega Rómkę Bratny, który pisze dwie, a nawet trzy książki rocznie, o ile te książki nie przekraczają 120—150 stron, potem je wyda raz jeszcze zbiorowo. I on ciągle jawi się na wityrach. Podobnie pracowity jest Jan Dobraczyński, który ma tych sześćdziesiąt parę wydanych książek i zawsze może którąś wznowić w jednym lub dwóch wydawnictwach i ma z tego to, co nazywa się pełny sasek. Może z tego do omlotów coś ciągle sobie wybiera. Gorzej bywa z pisarzami, którzy są na pewno wartościowymi a mniej czytelnymi. Na przykład Teodor Parnicki, którego zaliczyłbym do jednych z najwybitniejszych naszych współczesnych pisarzy; wznowienia jego książek są niezmiernie rzadkie. Jemu trzeba byłoby książki wylansować, zwłaszcza te, które są wprowadzeniem w jego świat, takie jak „Srebrne orły” czy „Koniec zgodny narodów”. I ułatwić tłumaczenia! Jest to bowiem bardzo mało tłumaczony pisarz, co jest krzywdą dla całej naszej literatury. Parnicki to nazwisko które wreszcie powinien świat odkryć. Czy Związek w tym mógłby pomóc? Sądę, że tak. Dalej: przez awanturniczą działalność „Solidarności” zostaliśmy także izolowani w krajach socjalistycznych. Tamtejsi wydawcy bali się ryzyka tłumaczenia książek żyjących pisarzy i ograniczali się wyłącznie do edycji klasyki lub kryminałów. Pozornie więc liczba tłumaczeń niewiele się zmniejszyła, ale w praktyce współczesna polska literatura została wymazana z dorocznich spisów przekładów. Dziś można powiedzieć, że wracamy. Jest to konieczność, jeśli chcemy, aby pojawiały się u naszych sąsiadów nasze najwybitniejsze książki, zwłaszcza że jest ich przecież sporo. I tu już nie robiłbyś żadnej różnicy, czy jest to pisarz zrzeszony w Związku czy chodzący luzem. Stąd jednym z obowiązków nowego zarządu ZLP jest mieć możliwie dobre kontakty z zarządami związków w krajach socjalistycznych. Trzeba nawiązać także kontakty osobiste, dotyczy to zwłaszcza młodych, bo ci wielcy niestety się wykruszają — przeciętna wieku to coś powyżej 65 lat. A związki przyjaźni, jakie istniały między Iwaszkiewiczem a Janem Pilardem, między Mirosławem Żuławskim a Malraux, Janem Parandowskim a pisarzami włoskimi, Wilhelmem Szewczykiem a Lenem czy też między mną a Konstantym Simonowem były bardzo ważne. Znajomości te, przyjaźnie i wzajemne sympatie ogromnie ułatwiały potem kontakty oficjalne i misje pół-oficjalne. Np. serdeczne stosunki łączą nas z pisarzami łutychkimi, którzy widzą w naszej literaturze jedno ze słownianich zwierciadeł i pokrzepienie serc dla siebie. Takie same związki powinny się zrodzić w pokoleniu młodych, bo inaczej twórcy będą przemycać się obok siebie, będą znajomymi tylko z okładki książki. A przyjaźnie są bardzo często poręczeniem za tekst. Przychodził mi się do wydawcy i się mówi: musisz to przetłumaczyć, bo to jest bardzo dobre, znam autora, który ma ku nam otwarte serce, szkoda więc byłoby, gdybyśmy ustawili go w kolejce gdzieś po książkach, jakie wydaje się gwoździem do ziemi czy zysku wydawnictwa. Rozmawiałem z ministrem Orzechowskim. Paru młodszych kolegów z dobrze opanowanym językiem obcym mogłoby pojechać na parę lat za granicę. Obsadzanie pisarzy w dyplomacji zawsze było korzystne dla naszej literatury i kultury. Gdyby Iwaszkiewicz nie był naszym attaché w Danii, nie mielibyśmy tłumacza Kierkegarda ani bajek Andersena. Breza bez pobytu w Rzymie nie napisałby ani „Spisów bramy” ani „Urzędu”...



Foto: Grzegorz Gałusiński

O sprawach ZLP, o literaturze i o sobie

w wywiadzie dla „Odgłosów” mówi
WOJCIECH ŻUKROWSKI

— Gdyby pan nie był w Indiach, nie powstałoby „Kamienne tablice”...

— No tak, ale chcę wspomnieć jeszcze o człowieku piszącym, który choć nie jest członkiem naszego Związku, to przecież pisze rzeczy znaczące. Myślę o Ryszardzie Kapuścińskim. Mimo pozorów, że to proza reportażowa, jest to twórczość kreująca charaktery, które na trwałe pozostaną w literaturze. Weźmy chociaż jego „Cesarza” czy „Chrystusa z karabinem na ramieniu”. Czy mogłoby powstać bez jego podróży po świecie?

Dla związku ważne jest jeszcze to, by stanowili on pewną siłę. Żeby jego autorzy mogli być sprawdzić w obecności jego przedstawicieli i delegatów w organizacjach takich jak Narodowa Rada Kultury, jak rady wydawnicze przy wielkich spółdzielniach wydawniczych, gdzie przypominaliby, iż istnieje możliwość zysku bez dużego ryzyka także przy wydawaniu współczesnej literatury. Przecież my mamy mnóstwo pisarzy, którzy się zapadli, zniknęli, nie ma po nich śladu. Myślę tu także o klasykach. Nie wznawia się np. trylogii Reymonta, Berenta, Sieroszewskiego, Rembeka itd. — słowem cały szereg świetnych pisarzy nagle przestało istnieć.

— Zamiast wydawać broszury o chiromancji i różnych mandalach życia, można byłoby rzeczywiście zacząć wydawać tych zapomnianych. Ale w związku z tym jest jeszcze jedno zagadnienie: otóż uczestnicząc w rozmaitych zebraniach ZLP widzimy, że kładzie się tam nacisk przede wszystkim na sprawy bytowe i materialne, co jest zrozumiałe, szczególnie w sytuacji obecnego kryzysu. Natomiast w Związku jakby nie widać inicjatyw kulturowo-

tycznych. Nie marzymy o tym, co istniało w Związku Literatów np. w latach pięćdziesiątych, ale wydaje nam się, że warto byłoby dyskutować i rozmawiać o własnych książkach. Tym bardziej, że współczesnej krytyce literackiej można wiele zarzucić...

Krytyka stała się domeną samoadoracji. Z drugiej strony domena koncepcji bardzo wątpliwych, nie popartych uznaniem czytelnika. A to jest jedyna droga weryfikacji. Robimy np. w Związku spotkania autorskie, gdzie prezentuje się pisarzy, pokazuje się coś nowego. Nie jest to czytanie, a rozmowa i pytania — odpowiedzi. I dyskusja. Nie należy się zrażać, że na dyskusję przychodzi kilka osób. Ważne, że z nimi można już coś zacząć. To będzie detonator, a potem echo albo się rozejdzie, albo powróci do nas. Jesteśmy na tyle silnymi indywidualnościami, że każdy z nas ma swoją propozycję artystyczną. Na szczęście nie ma jeszcze przepisu na to, jak należałoby tworzyć. Już raz to przerabialiśmy i nie wyszło. Ci wszyscy, którzy byli jak gdyby przymusami, jak np. Kazimierz Brandys, są gdzieś indziej. A była wtedy przecież policja socjalliteratury: Jan Kott, Adam Ważyk i inni. Teraz bardzo nie lubią, jak im się przypomina tamte czasy.

— Kiedyś istniały Koła Młodych przy oddziałach ZLP. Były jakieś były, ale służyły za forum dla autentycznych rozmów o literaturze. Teraz ta instytucja jakby wraca pod po-

staci Klubów Literackich, które miałyby organizować tę trochę pogubioną młodzież. A urodzić na pisarzy i poetów jest niesłychanie...

— To bardzo dobrze. Należy młodym pomagać choćby tworzyć w pismach specjalne kolumny. Nie można bowiem inaczej naprawdę zobaczyć swego tekstu jak tylko w druku. Rękopis to jakby tekst jeszcze nieświadomy, nieostateczny. Toteż należy wpychać się do gazet, szukać czytelnika. A krytyka powinna być życzliwa, ale i sprawiedliwa, powinna zwracać uwagę czytających, że oto jest autor, po którego warto sięgnąć, że oto książka, na którą warto zapolewać.

— A tymczasem krytyka, jaką się obecnie u nas uprawia rezygnuje z funkcji wartościującej. Zazwyczaj mamy do czynienia z poglądami z których nie wynika, czy krytyk dał książkę ceni, chwali, czy ją gani...

— Tak. Doszło do tego, że pisarze zaczynają sami pisać krytykę. Weźmy jako przykład „Genealogie ocalonych” Lesława Bartelskiego. Przecież jest to przykład opisu historii literatury przez amatora, a nie zawodowego krytyka. I Bartelski robi to dobrze. A dlaczego? Bo nie zrobiła tego w porę krytyka.

— Wysoko ceniąc pana twórczość chcielibyśmy się przeczytać coś bardziej osobistego, niech by byłaby gawędą czy pamiętnik albo dziennik. Myślimy, że czytelnik chętnie sięgnąłby po taką pana książkę. Krytykę ośmiali o pana stylu nazywając go sienkiewiczowskim. Rzeczywiście znajdujemy w pana prozie i wspaniałą polszczyznę, i narracyjną potoczność, i stylizację, i rozmach. Jest to więc typ pisarstwa, który mógłby się znakomicie sprawdzić we wspomnianej tu formie. Czy nie zamierza pan czegoś takiego napisać? A może taki tekst już powstaje?

— Dosłownie, jakbym wykonał zamówienie. Piszę. Byłaby to więc książka, która mówiłaby o najciekawszych spotkaniach. Nie pisałem dotąd o tym. Garść ludzi już odeszła, a można ich pokazać w ich powszednim życiu, ożywić przez anegdotę, nawet żłobliwą czy nawet sztyrca. O to się żywi obrażają, ale zmarli w tym o wiele bardziej żyją niż mogliby oczekiwać poprzez tablice pamiątkowe czy pomniki.

— Zaczynał pan jako poeta. Jak to się stało, że zrezygnował pan z tej formy sztuki i literackiej na rzecz prozy, pozostając jej wierny do końca?

— Wydawało mi się, że się trochę nie mieszczę w wierszu. Wiersz wymaga dużej syntezy, a ja chciałem pokazać szczegóły, owe drobne kamyczki z jakich składa się mozaika rzeczywistości. Moje uwarunkowanie na przyrodę, choć jestem przecież pisarzem miejskim, to jakby atawistyczne dziedzictwo, też wymanomane epickiej przestrzeni. Ja panom nazwę każdą trawkę, każdy kwiatek, każde zioło, powiem jakie jest ich znaczenie lecznicze... Miałem przyjaciela Stojana Subotina, Serba, który tłumaczył „Okruchoy weselnego tortu”. Powiedział: „To jest tak znakomicie proste, że śladę i od razu będę pisał przekład na maszynę. Czy wiesz o tym, że tłumaczenie zajęło mi półtora roku, dzień w dzień po parę godzin? Musiałem bowiem się uczyć słów serbskich, których dotąd, jak się okazało, nie znałem. Musiałem je wyszukiwać poprzez specjalistyczne zielniki, czasem dochodzić przez łacińską nazwę do serbskiej”. Właśnie i o Subotinie chcę napisać we wspomnianej tu książce. Jej tytuł: „Żywy podany do wierzchni”. Zresztą, gdzie kończy się proza, a gdzie zaczyna się poezja? W tej chwili wyszła moja książka „Na tronie w Blablonie” napisana po czterdziestu latach od jej zapowiedzi, kontynuacja „Porwania w Tiumfalistanie”. Są tu ci sami bohaterowie, ale w zupełnie innych warunkach. Jest to niby poetycka baśń, w której bardzo

wielu ludzi może siebie rozpoznać — jak w realistycznej powieści — a i kraj jest tam nam bardzo znajomy. Jest to książka o odpowiedzialności za słowo, o tworzeniu, o władzy, która musi służyć, jeśli chce naprawdę władać. Bardziej będzie się to podobalo dziadkom niż dziadkom.

— Jakkąkolwiek by wziąć pana książkę i czegośkolwiek by ona nie dotyczyła, Węgier czy Indii, zawsze jest w nich szczególne urzeczienie Polką, jej tradycjami i historią. A przecież w pańskich żyłach płynie trochę krwi włoskiej...

— Myślę, że to jest prosta. Odsyłam panów do Parnickiego, mistrza od tych spraw, który twierdzi, że jedynie prawdziwymi przedstawicielami narodów, w których tworzą, są mieszkający. Bo oni muszą o swoją tożsamość, osobowość narodową jakby z sobą się zmagać, wybić nieustannie i siebie potwierdzać poprzez działanie, poszukiwanie w materii świata, w którym się urodzili. Potwierdzać, że stąd jesteśmy i tu będziemy. Bo jeśli ktoś się urodził na Aleksanderplatz, tak jak Parnicki, a wychował w Mandurii, gimnazjum kończył w Chabinie, potem był we Lwowie, potem w Kuibysze, a i długo w Meksyku, aż tyle lat... Myślę, że stąd jego książki to jeden ocean polskości.

— To Kazimierz Wyka nazwał pańską książkę „Z kraju milczenia” najbardziej polską książką w powojennej literaturze. Te opinie można uogólnić na całą pana twórczość...

— Może ma na to wpływ i to, że byłem żołnierzem w 1939 r., cztery lata w konspiracji, dwa lata po wojnie także w mundurze. Jest to ciągle potwierdzanie siebie z gotowością do ostatecznego poświęcenia tego, co jest w człowieku najcenniejsze: życia.

— Jeszcze jedno pytanie: oprócz tego, że jest pan pisarzem, jest pan także „zwyczajnym” czytelnikiem, który chce, aby książka go zainteresowała, wzruszyła, coś wartościowego przekazała. Co sądzi Żukrowski-czytelnik o współczesnej polskiej literaturze?

— Czytam dużo. Nie tylko książki już wydane, ale i te w maszynopisach, bo często zasiadam jako juror w różnych konkursach. Zawsze wierzę, że wreszcie wyłowię jakąś perłę i krzyknę: Popatrzcie, oto klejnot, oto arcydzieło! Niestety, Często natrafiamy na dobre teksty, od strony rzemiosła są one poprawne, nawet więcej i jak debiuty są napisane po majstersku. Natomiast gorzej z zawartością. Piękne opakowanie, a zawartość przeciętna lub wręcz do niczego. Ułubionym bohaterem — nie wiem z czego to wynika — jest nieudacznik, czyli człowiek, któremu się nie powiodło. Ani to nauczyciel, ani to artysta, ani awanturnik, bo nawet nie jest zdolny w ekstremalnych sytuacjach dać w mordę.

Talentów, sądzę, jest dużo. Tylko czy one przypadkiem nie są deprecjowane przez wezwania do fałszywego nowatorstwa, przez lek, że jesteśmy zaściankiem i to, co się u nas dzieje, musi być nieciekawe, jest za mało atrakcyjne dla świata? Jest to chęć mówienia od razu nie do narodu, nie występowania w orkiestrze podwórkowej, tylko od razu jako wielki solista w La Scali. Myślę, że to jest ta główna pomylka.

Nie jest prawdą, że siłę charakteru bohatera podkreśla używanie grubych słów. Wulgaryzacja języka jest dla mnie pieknieiną irytacją, bo ona nie stanowi świadomego instrumentu. U nas lansuje, gloryfikuje to. Bereza. Jednak sądzę, że czas odsieje kolorowe plewy, zostaje ziarno, to co przyniesie czytelnik za swoje.

— W imieniu własnym i naszych czytelników dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiali:
GRZEGORZ GAZDA
EUGENIUSZ IWANICKI

Szczerze mówiąc, wybrałem się na rajd po nadmorskich miejscowościach, by napisać o przygotowaniu ośrodków wczasowych do sezonu. Rychno jednak zmieniłem zamiar. Wszak pisanie o tym, że w luksusowym hotelu „Gdynia” jest basen i można tam skorzystać z „masażu zupełnego”, a opuścić to miejsce zupełnie bez gotówki i że np. we Władysławowie baza turystyczna jest całkiem przyzwoicie przygotowana do najazdu żądnych wypoczynku urlopowiczów, mijają się z celem. Jeśli nawet ogłosiłbym wszem i wobec, że gdzieś tam walają się śmieci, gniją zbutwiałe kajaki, a wyżywienie jest pod psem, to choć być obiektywny, musiałbym napisać i o ośrodkach, do których warto pojechać, czyli byłaby to zachęta dla tych, którzy jeszcze się nie zdecydowali: nad morze czy w góry?

Daleki jestem od zachęcania kogokolwiek do wyjazdu nad morze. Po pierwsze: na północy kraju chłodniej i mniej słońca, po drugie: stacje San-Epidu mają poważne wątpliwości co do stanu sanitarnego wielu ośrodków wypoczynkowych, po trzecie: wiele nadbałtyckich kąpielisk opatrzone tabliczkami z zakazem wchodzenia do wody, a po czwarte: nad morzem straszą różnego typu bakterie, brudy, ścieki itp. Warto wiedzieć, że np. województwo gdańskie jest jednym z najbardziej zdegradowanych ekologicznie obszarów w całej Polsce, kto wie, może bardziej nawet niż Górny Śląsk!

Tak więc, aby do reszty zniechęcić tych, którzy jeszcze się nie zdecydowali, gdzie spędzić urlop, kilka informacji o sytuacji ekologicznej w województwach nadmorskich.

KAPIEMY SIĘ WE WŁASNYM SOSIE

Obojętne, czy to ścieki przemysłowe, czy też ścieki komunalne. Oczywiście jedno i drugie nie są obojętne dla organizmu człowieka, ale należy sobie uświadomić fakt, iż większość nadmorskich kąpielisk zamknięto z powodu skażenia wody bakteriami... kalowymi. Przyjemnej kąpieli!

Morze jest brudne, a wiatr niesie zapach zgnilizny i czegoś nieokreślonego, co jednak nie przypomina woni wodorostów. W niektórych miejscowościach, jak choćby w Trójmieście, na brzegu pojawiają się śnięte ryby, choć na razie zjawisko nie przypomina straszliwej klęski ekologicznej sprzed kilku lat, gdy na plażach pojawiały się całe ławice węgorzy, zatrute powietrze zapachem gnijącego mięsa.

Ponieważ nikt w Łodzi nie zajmuje się informacjami o stanie nadmorskich kąpielisk, spieszę wypełnić tę lukę. A więc:

GDZIE WOLNO SIĘ KAPAC, A GDZIE NIE WOLNO?

W województwie elbląskim wolno jedynie w Kątach Rybackich, Krynicy Morskiej, Piaskach i Sztutowie, choć to ostatnie uznane jest jako niepewne, tzn. jest zanieczyszczone bakteriami kalowymi okresowo, lecz w przypadku dalszego wzrostu skażenia może być zamknięte. Nie wolno kąpać się ani uprawiać sportów wodnych na Zatoce Gdańskiej (Mikoszewo, Jantar, Stegna, na Zalewie Wiślanym (Trombork, Suchacz, Tolmicko), na rzecze Nogat (Malbork).

I na marginesie uwaga: osoby naruszające zakaz kąpieli i uprawiające sporty wodne w miejscowościach objętych tym zakazem, będą karane w trybie karno-administracyjnym za wykroczenia z art. 26 ust. 1 pkt. 1 ustawy z 13.II.1963 r. o zwalczaniu chorób zakaźnych („Dziennik Ustaw” nr 50, poz. 279). Kary obowiązują oczywiście wszystkich naruszających zakaz kąpieli i we wszystkich województwach.

W województwie gdańskim wolno kąpać się w miejscowościach: Lubiatowo, Białogóra, Dąbki, Karwia, Ostrowo, Jastrzębia Góra, Cetniewo, Władysławowo, Chałupy, Kuźnica, Jastarnia, Jurata, Hel (przy czym chodzi o plaże położone nad otwartym morzem, nie po stronie Zatoki). Natomiast plaże i kąpieliska znajdujące się po stronie Zatoki i nie objęte zakazem kąpieli są w miejscowościach Hel, Jurata, Jastarnia, Kuźnica, Chałupy, Gniewkowo, Ościnino i Rewa oraz zachodniego skrawka Cypla Rewskiego. Warto jednak dodać, że trzy ostatnie kąpieliska traktowane są jako niepewne. Nad Zatoką Gdańską kąpać się można jedynie w Sopocie i Gdańsku-Stogach, lecz kąpieliska te dopuszczone są do użytku tylko warunkowo. Natomiast tabliczki z zakazem kąpieli spotkać można we Władysławowie (od portu rybackiego na wschód) oraz w miejscowościach położonych nad Zatokami Pucką i Gdańską: Swarzewo, Puck, Rucewo, Rewa (od wierzchołka Cypla Rewskiego do wsi Mecheliniki), Mecheliniki, Gdynia-Oksywie, Gdynia Śródmieście, Gdynia-Orłowo, Gdańsk-Jelitkowo, Gdańsk-Brzeźno, Sobieszewo, Sobieszewo-Orle i Świbno.

W województwie śluskim sytuacja jest chyba najlepsza, zakaz kąpieli obowiązuje jedynie na 100-metrowym odcinku od ujścia rzeki Stupi na wschód do pierwszego zejścia na plażę.

Ale gorzej jest już w województwie koszalińskim. Do użytku dopuszczono następujące kąpieliska strzeżone: Wice, Darłowo, Dąbki, Łązy, Unieście, Mieleno, Mielenko, Chłopy, Sarnino, Gąski oraz warunkowo odcinki plaż w środkowej części Kołobrzegu. Od 1982 r. zamknięte są kąpieliska w Grzybowie i oraz spora część w Kołobrzegu, a w tym roku zamknięto dalsze cztery kąpieliska w miejscowościach Dźwirzyno, Sianozęty, Ustronie Morskie i Podczel.

W województwie szczecińskim nie wolno kąpać się w Rewalu i w okolicach Jeziora Dąbskiego, kąpielisko w Mrzeżynie traktowane jest jako niepewne. W pozostałych miejscowościach na szczęście brak tabliczek z zakazami wchodzenia do wody.

Właśnie. Czy w miejscowościach, gdzie brak tabliczek z zakazami kąpieli jest zdrowa i bezpieczna? Weźmy taki oto przykład. Czy jeśli zakaz np. w województwie śluskim dotyczy 100-metrowego odcinka plaży na wschód od ujścia rzeki Stupi do pierwszego zejścia na plażę, to czy w odległości 2 metrów od wspomnianego zejścia no, nie bądnymy drobiazgowi, niech będzie 100 metrów — woda jest idealnie czysta, bo przecież nie ma tabliczek z zakazem? Albo weźmy pod uwagę skomplikowaną sachownicę

kąpielisk „czystych” i „brudnych” w Kołobrzegu czy we Władysławowie.

Owszem, trzeba przyznać, że decyzje o zamknięciu kąpielisk podejmowane są ze względu na bardzo niebezpieczny dla zdrowia stopień skażenia bakteriologicznego, co oczywiście nie znaczy, że tam, gdzie zakazu nie ma, woda jest czysta, a trawa zielona. Na dowód posłużę się kąpieliskami udostępnionymi warunkowo (inna nazwa to kąpieliska niepewne). Cóż to znaczy, że kąpielisko traktowane jest jako niepewne? To znaczy, że okresowo pojawiają się już groźne dla zdrowia skażenia. I dopiero wtedy, gdy stopień skażenia będzie dalej wzrastał, kąpielisko zostanie zamknięte. Jaki więc morał płynię z tych rozważań? Ano taki:

NAJBIEZPIECZNIEJ KAPAC SIĘ W WANNIE!

Ale kąpiel w wannie (dodam, że jeszcze lepiej w uprzednio przygotowanej wodzie — to tak pół żartem, pół serio) też może być czasem problematyczna. „Odgłosy” sporo miejsca poświęciły zagrożeniu suszą i dosłownie wysuszeniu z wody Świnoujścia. Ale przecież nie tylko Świnoujście boryka się z zaopatrzeniem w wodę. To samo dotyczy także Trójmiasta, które potrzebuje dziennie 385 tys. m sześciennych

JACEK GŁĘBSKI

Nad morze z własną wodą!

nych na dobę, a ujęcie infiltracyjne z Redy dostarcza 86 tys. m, zaś ujęcie w Straszynie (ciągle w fazie budowy) dostarcza 130 tys. m sześciennych na dobę. Widmo suszy grozi też obszarom położonym w płn.-wsch. części gdańskich Żuław oraz Półwyspiewi Helskiemu. Mimo że kąpieliska w Chałupach, Jastarni, Kuźnicy i Jastrzębiej Górze — o ironio! — są zdane do użytku, właśnie w tych miejscowościach są poważne deficyty wody zdatnej do picia. Jednak w Dąbkach, Tylowie i właśnie w Chałupach lepiej już kąpać się w morzu niż w łazience, bowiem w miejscowościach tych nastąpiło silne zanieczyszczenie warstw wodonośnych i pod względem skażenia bakteriologicznego woda jest tam gorsza niż w całym województwie gdańskim (a korci mnie, by przypomnieć, iż właśnie to województwo jest zaliczone do obszarów o najwyższym stopniu degradacji ekologicznej w Polsce).

PŁONA RZĘKI

Długa jest lista mniejszych lub większych klęsk ekologicznych w miejscowościach leżących nad Bałtykiem. Jednakże najbardziej urodzajne w takowe klęski są województwa gdańskie, elbląskie, a także — choć na dużo mniejszą skalę — koszalińskie. Najbardziej przykłądem jest „samozapłon” niewielkiej rzeczki, która przepływa przez teren Pracowni Ogrodów Działkowych im. L. Waryńskiego w Gdańsku-Letnicy. Ten szustektarowy ogród usytuowany w centrum przemysłowej dzielnicy Gdańska-Letnicy miał być oazą czystości i „zielonymi płucami” miasta. Kilkanascie lat temu w rzeczce pływały dorodne ryby, teraz jednak w prowadzącej ścieki z oczyszczalni Gdańsk-Brzeźno rzeczce płyną co najwyżej szkielety, no i oczywiście tłuste plamy ropy i olejów. Województwo elbląskie pamięta natomiast trzy zeszłoroczne klęski. Otóż Zakłady Celulozowo-Papiernicze w Kwidzynie spowodowały wyciek 5 ton oleju, który dostał się poprzez kanalizację do wód powierzchniowych. Na skutek katastrofy kolejowej w Suszu glebę zatruło 60 ton oleju napędowego. Zakład Rolny w Karbowie spalił do Jeziora Mieczonego 115 ton soków kiszonkowych. Przykłady można mnożyć dalej.

Efekty są widoczne. Spośród 434 km rzek w województwie elbląskim aż 85,4 proc. to rzeki pozaklasowe, a raczej nie tyle rzeki ile ścieki, to chyba trafniejsza nazwa. Natomiast 14,6 proc. to rzeki posiadające 3 klasę czystości wód. Warto wiedzieć jednak, że istnieją jeszcze rzeki pierwszej i drugiej klasy czystości. No tak, ale nie w elbląskim...

8 kwietnia 1988 r. uroczyście obchodzono był Tydzień Czystości Wód, a tymczasem w rejonie Pomorza Zachodniego nie ma ani jednego kilometra naturalnych cieków w pierwszej klasie czystości, a jedynie 3 proc. rzek kwalifikuje się do klasy drugiej. W trzeciej klasie czystości jest tylko 30 proc. rzek. A reszta? Poza wszelką klasyfikację.

STATYSTYCY BIĄ NA ALARM

bo codziennie z 418 zakładów przemysłowych zlokalizowanych w samym tylko województwie gdańskim odprowadzanych jest do wód powierzchniowych ponad 500 tys. metrów sześciennych ścieków. Z tego aż 330 tys. to ścieki nie oczyszczone. Z 19 miast tylko 2 (Skarszewy i Kartuszy) posiadają wystarczające w stosunku do potrzeb oczyszczalnie biologiczno-mechaniczne.

W 1984 r. zakłady przemysłowe wyemitowały 27,3 tys. ton pyłów i 56,7 ton gazów do atmosfery. W Gdańsku nastąpił już siedmioprocentowy wzrost dopuszczalnych stężeń dwutlenku siarki w powietrzu, a w Gdyni stężenie zabójczych tlenków azotu przekraczało normę o 83 proc. W ciągu roku odpady komunalne przekraczają 3 mln metrów sześciennych, a przemysłowe — 1,1 mln m sześciennych. Gospodarczo odzyskuje się zaledwie 145 tys. ton odpadów. Reszta zasila gleby, wody, atmosferę i wszelkiego typu środowiska. Pomijając już składowniki, można zmniemać, że spora część ubocznych produktów naszej cywilizacji i tak — wcześniej czy później — trafi do Bałtyku. No tak, ale przecież Polska jest sygnatariuszem konwencji helsińskiej i zobowiązała się do utrzymywania czystości wód Morza Bałtyckiego. Trudna sprawa...

W województwie koszalińskim zdecydowanie łatwiej znaleźć i czystą wodę i zieloną trawę, a i morze jakby mniej zgnębione brudami. Na

1192 km rzek poza klasyfikacją jest 25,1 proc., w 3 klasie czystości jest 37,1 proc., w 2 klasie — 34,5 proc., a w pierwszej 3,3 proc. I choć nie ma tu zakładów-trucielni, to jednak systemy kanalizacyjne miast skutecznie wypełniają lukę. Świadczy o tym wygląd, a niekiedy i zapach takich rzek, jak choćby Dzierżęcinka, Wogra i — nomen omen! — Niedzobna. Ze o katastrofalnym stanie największego naturalnego szamba w Polsce — Jeziora Jamno — już nie wspomnę.

WYPISANO JUŻ RECEPTĘ

tylko że w aptece brakuje leków, a i nie wszyscy aptekarze dysponują. Receptą jest oczywiście budowa oczyszczalni ścieków mogących poradzić sobie zarówno z zanieczyszczeniami komunalnymi jak i przemysłowymi. Faktem jest jednak, że jak dotąd osiągnięcia w tej dziedzinie trudno uznać za satysfakcjonujące. Niewiele jest oczyszczalni, które w pełni zaspokajają niemałe potrzeby.

W Elbląsku do 1990 r. trzeba zakończyć takie inwestycje jak oczyszczalnia ścieków w Elblągu i Malborku, uporać się z budową oczyszczalni w Stegnej, przyspieszyć tempo budowy kanalizacji sanitarnej w Krynicy Morskiej, przygotować dokumentację dla Pasłęki, zaprojektować oczyszczalnię w Suszu, Ornecie

W tej sprawie zabrano głos także Ministerstwo Ochrony Środowiska i Zasobów Wodnych. Zdaniem resortu nie kłopoty finansowe, ale rozproszenie sił wykonawczych stanowi przeszkodę w ratowaniu okolic Gdańska. Uważa się (jakże by inaczej) iż budowa oczyszczalni jest absolutnie konieczna, ale na konkretne decyzje trzeba będzie poczekać, najpierw trzeba się uporać z wcześniej rozpoczętymi inwestycjami.

Znaczący to, że czekać trzeba będzie długo, bo robota — jak wiadomo — nie zając. Oto garść przykładów. Rozbudowę się od 1979 r. mechaniczną część „Płoni”. Termin oddania — bieżący rok. Oczywiście wolno to między bajki, albowiem prace zaawansowane są w 70 procentach. Oczyszczalnia biologiczna „Dębogórze” dla Gdyni, Redy, Rumi i Wejherowa rozpoczęta w 1984 r. o wartości kosztorysowej ponad 4 mld zł miała być oddana w 1988 r. Tymczasem zaawansowanie prac ocenia się na zaledwie 15 procent. Oczyszczalnia biologiczna „Swarzewo” dla Pucka i Władysławowa o wartości 1,2 mld zł jest budowana od 1982 r. i mimo że ma być oddana w przyszłym roku, prace zaawansowane są dopiero w 25 procentach. Oczyszczalnia biologiczna „Jurata” dla Jastarni i Juraty o wartości 326 mln zł także miała być oddana do użytku w przyszłym roku. I choć buduje się ją i buduje, prace zaawansowane są dopiero w 45 procentach.

A ŚCIEKI PŁYNĄ

Przenieśmy się do Koszalina. Dyrektor Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, dr Andrzej Orzyński twierdzi, że nie może wygłaszać i zakładać w umysłach kierowników wielu ośrodków wypoczynkowych elementarnych zasad utrzymywania higieny. W rejonie województwa straszą gronkowce, pałeczki czerwoni i wszędobylska salmonella. W 1988 roku, choć sezon dopiero się rozpoczyna, przeprowadzono już 18 tys. kontroli w 6616 obiektach. Wydano 911 decyzji usunięcia nieprawidłowości technicznych, 40 placówek zamknięto z powodu rażących już zaniedbań, wydano 38 wniosków do kolegiów, wypisano mandaty na kwotę prawie 1,5 mln zł. A co roku zamiast być lepiej — jest gorzej.

W analogicznym okresie 1985 roku wydano bowiem 509 decyzji usunięcia usterek, zamknięto 18 placówek, wypisano 14 wniosków do kolegiów, a mandaty wzbogaciły miejską kiesz o 555 tys. zł.

Według oceny San-Epidu zwiększyła się operatywność ich służb, ale obawiali się o higienę ze strony ośrodków wczasowych jakoś nie widzą. Rada? Wzmoc „terror sanitarny”, bo nie tylko Wybrzeże, ale i cała Polska tonie w brudzie. Ale należy pamiętać, że sezon dopiero się rozpoczyna. Myślę, że po jego zakończeniu bilans zamknięć ośrodków, kar, ognisk zatrut pokarmowych itp. będzie znacznie obszerniejszy. Niestety.

A że władze sanitarne są bardzo wyczulone na wszystkie zanieczyszczenia i bakterie, niech świadczy taka oto anegdota: nie ma, choć autentyczna historia. Otóż w okolicach Darłowa na początku czerwca 1988 r. zauważono grubą warstwę siarki pokrywającej plażowy piasek. Skąd tu siarka? Plaża zoić się w słońcu, przyjeżdżają ekspedycje z San-Epidu, postawiono na nogi służby ochrony środowiska. I co się okazało? O skażeniu plaży siarką nie ma mowy. Warstwa żółtej substancji okazała się być... pyłkiem sosnowym!

KTO JESZCZE NIE STRACIŁ OCHOTY

do wyjazdu nad morze, ten niech się dowie, że morze jest — przynajmniej wizualnie — takie jak zawsze, woda, białe grzywy fal, porośnięte trawą i gdzienigdzie mikołajkami nadmorskim wydmym, parzący w stopy piasek na plaży, kolorowe muszkielki zbierane z zapalem przez dzieciaki, wiktynowe kosze, rozpalone słońce smażące na brązowo amatorów słonecznych kąpieli (dobre i takie, jeśli akurat obowiązują zakaz kąpieli w morzu), potem, już pod koniec dnia, bąjeczne kolorowe zachody, a w nocy migotanie świateł okrętów i latarni morskich, i upojny księżyc, i roziskrzona gwiazdy, i...

I wcale nie widać ani bakterii w wodzie, ani salmonelli w drobiowym mięsie, ani rybich zwłok, ani cuchnących wodorostów, ani podjeżdżanie szaroburej barwy plaży, dopóki można napić się „pepsi” i wykapać w wannie, nie widać problemów z zaopatrywaniem miejscowości w wodę pitną. Inna sprawa, że właśnie w czasie sezonu letniego, gdy do nadmorskich miejscowości przybywają pielgrzymki urlopowiczów, właśnie wtedy oczyszczalnie trzeszczą w szwach, wysychają krany, itd., itp.

Faktem jest, że polskie wybrzeża Bałtyku aż proszą o pomstę do Ministra Ochrony Środowiska. Czyja to wina, że jest tak, jak jest? Ano nas wszystkich.

Dla przykładu: zgierski „Boruta” podtruwa Bzurę, Bzura podtruwa Wisłę, Wisła podtruwa Bałtyk. A potem pracownik „Boruty” przyjeżdża nad morze i krzywi się: woda cuchnie, plaże pozamykane... Inna sprawa, że cena, którą trzeba zapłacić za rozwój cywilizacji jest wysoka. Ale czy trzeba było prawie czterdziestoletnich zaniedbań, by teraz, zbierając efekty, dostrzegać wagę problemu? Morze zatruwają wszyscy, pracownicy zakładów przemysłowych z całej Polski, w których nie dba się o czystość i oczyszczanie ścieków, jak i mieszkańcy miast, objętnie czy Warszawy, czy Gdańska.

Morze zatruwają też mieszkańcy wsi, zatruwają gnojnicą, nawozami sztucznymi, które spływają z pól do rzek i środkami ochrony roślin.

Morze zatruwają turyści, co roku bowiem nie przygotowane do takich obciążeń oczyszczalnie ścieków w nadmorskich miejscowościach, ledwie radzą sobie choćby z „podczyszczaniem” wody z kolektorów.

A o tym, że co roku, u wybrzeży Bałtyku robią się tankowice z olejkami do opalania wspomnieliśmy nawet nie wypada. Czymże bowiem jest jakiś tam tankowiec w porównaniu z np. wisiłaną zawieszoną?

Tylko budowa systemu oczyszczalni ścieków pozwoli uratować Bałtyk.

we z Polską w związku ze specjalnymi przywilejami, jakie kupcy szczecińscy otrzymali od Władysława Jagiełły. Na przełomie XV i XVI w. jest to wyróżniające się miasto Pomorza Zachodniego. Spełnia rolę centrum handlowego, ośrodka rozwinętego rzemiosła i stolicy państwa zachodniopomorskiego. Państwo to, po rozbiciu z powodów dynastycznych, ponownie zjednoczył książę Bogusław X — jeden z najwybitniejszych władców Pomorza, który był lennikiem króla polskiego i utrzymywał bliskie kontakty z dworem polskim. Obok Zamku Książąt Pomorskich stoi on na pomniku wraz z żoną Anną Jagiellonką.

Początek XVI w. przynosi konflikty religijne związane z reformacją, które zakończyły się zwycięstwem luteranizmu. W 1630 r. miasto zajmują Szwedzi i fortyfikują je. W 1637 r. umiera Bogusław XIV — ostatni książę Pomorski. W 1677 r. do Szczecina wkraczają Brandenburczy, a w dwa lata później ponownie Szwedzi, których panowanie trwa do 1713 r. Następuje upadek gospodarki miasta, które w 1713 r. dostaje się w ręce Prus. Okres ponownej świetności rozpoczyna się pod koniec XVIII wieku, do czego przyczyniają się francuscy osadnicy — uchodźcy polityczni (w latach 1806—1813 Szczecin znajdował się także pod okupacją francuską).

W 1843 r. otwarto linię kolejową do Berlina, a w 1848 r. do Poznania. Rozpoczyna się napływ ludności polskiej z pobliskiego Pomorza Gdańskiego i Wielkopolski. W II połowie XIX wieku Szczecin jest największym portem nad Bałtykiem. W 1873 r. zburzono fortyfikacje wokół miasta, co pozwoliło na jego swobodną i nowoczesną rozbudowę. Za ogromną kontrybucję w zbrojeniu, którą Francuzi musieli zapłacić Prusom po klęsce pod Sedanem, wybudowano tak zwany nowy Szczecin. Zastosowano gwiaździsty układ ulic, koncentrycznie rozchodzących się z kilku placów o rzucie koła. Centralnym punktem tego założenia jest obecny plac Grunwaldzki — jedyny tego typu rozwiązanie urbanistyczne w Polsce, przypominające nowożytny plan Paryża (flue, flue — dziwiłby się zapewne wróbel Cwirak z dobranockowego serialu).

Druga wojna światowa przyniosła olbrzymie straty: miasto zniszczono w 65 procentach, port i ośrodki przemysłowe w 85 proc. W 1945 r. przystąpiono natychmiast do odbudowy i rozbudowy Szczecina. Port rozpoczął pracę już w 1946 r. Szybko napływali osadnicy, w 1948 roku miasto liczyło już 135 tys. mieszkańców, a stan dzisiejszy to blisko 400 tys. ludzi.

Spośród tego stanu

KILKA TYSIĘCY SZCZECINIAN

(a także mieszkańcy województwa) wzięło udział w rozpoczynającej działalność loterii fantowej „Głosu Szczecińskiego”. Nie pierwszy i nie jedyny to „Głos” zachęcający do poborowania szczęścia i wygrania za 30 zł różnych cennych rzeczy: od Flata 126p, poprzez telewizory kolorowe, komplety mebli, pralki, rowery, lodówki, radia, do kompletów płyt długogrających. Tyle że na obszarze wpływów tego dziennika stał się cud, zjawisko zgola obce ideowo gazetce partyjnej. Otóż, od pierwszych dni loterii, zaczęto masowo wygrywać fanty. Natychmiast poszła fama o niezwyklej loterii i ludzie zaczęli wykupywać losy hurtem, w wieloletnich kioskach zwały się ich zaborcy. Gdy kilkadziesiąt osób w poniedziałek, po sobocie i niedzielę w pierwszych dniach czerwca, pojawiło się przed redakcją, doszło do przykrych scen. Okazało się bowiem, że tabele wygranych wydrukowane zostały z błędami. Tylko dlatego tak wiele osób przez dwa święteczne dni czuło się wyróżnionymi przez fortunę. Zamiast fiantów i innych luksusowych towarów, zaproponowano „szczęśliwcom” zwrot 30 zł za każdy „wygrany” los. Ukazało się w „Głosie” wyjaśnienie, przeprosiny i decyzja o cofnięciu prowadzenia loterii. Pozostał absmak grających i przyrzeczenia sobie dane na wszystkie świętości, że już nigdy więcej. Czy tak będzie, życie pokaże, jako że po usunięciu błędów koło fortuny obracać się będzie w dalszym ciągu.

Na czas pobytu w Szczecinie zatrzymałem się w hotelu „Pomorskim”, blisko dworca, w centrum miasta. Wszędzie stąd blisko, wszystko „w zasięgu wzroku”. I to właściwie jedyna zaleta tego przybytku, który firmuje Przedsiębiorstwo Turystyczne „Pomerania”. Z zewnątrz nawet ładny, ceramiczna mozaika zdobi szczytową ścianę, ale wewnątrz warunki bardzo skromne. Czysto, owszem, lecz wyposażenie pokoi kiepskie. To właściwie nie dziwi, bowiem hotel jest IV kategorii, czyli jednogwiazdkowy (młki personel uprzedzał lojalnie o tych brakach). Cena 1300 zł za dobę w pokoju jednoosobowym. Niedawno „bawilem” w Zakopanem, w hotelu „Giewont”, kategorii I, czyli cztero-gwiazdkowym. Doba w pokoju również jednoosobowym, eleganckim, z pełnym wyposażeniem kosztowała 1240 zł, a więc taniej niż w Szczecinie. „Giewont” należy do „Orbisu”, firm bardziej znanej, z dobrymi tradycjami, no i Zakopane! Wszystko przemawia za tym, by „Giewont” był droższy, a jest odwrotnie. Skąd się tu nie widać? I dlaczego? Logiki w każdym razie tu nie widać. A może jest to ta polska logika, czyli stawianie spraw na głowie, właśnie wbrew zdrowemu rozsądkowi?

Proszę, oto inny przykład, migawka, niby drobniak, mówiący jednak

O ZBAKIEROWANEJ LOGICE

Stacja pogotowia ratunkowego w Szczecinie, przy ul. Wojska Polskiego. Traf chciał, odwożem tam znajomego, wiadomo: bez potrze-

by do takiej instytucji się nie jeździ. Pomagam mu iść, sam nie dajmy sobie rady. Przed wejściem na plac, przybita do ściany tabliczka głosi: „Osobom nie korzystającym z usług pogotowia ratunkowego przebywającym na terenie stacji wzbronione”. Gdybym zastosował się do surowego zakazu, musiałbym puścić znajomego, a on padając złamałby sobie np. rękę lub wybił zęby i zamiast jednego, potrzebowałby opieki dwóch lub więcej medyków. Zamiast znajomego, puściłem napisać mimo oczu i doprowadziłem kolegę do odpowiedniego gabinetu, po dość stromych zresztą schodach. Nawet nie poczułem się na terenie stacji nielegalnie, mimo iż według tekstu na tabliczce tak było. Stusznym zakazów naród nie przestrzega, a co dopiero tak idiotycznych. Tym bardziej, że nikt nie kontrolował surowych zaleceń tabliczki. Zatem sztuka dla sztuki? Zadziwiająco, że ktoś takie curiosum wymyśla, a ktoś drugi zatwierdza i obaj wydają się sobie niezastąpionymi geniuszami. Ciekawe, kim jest pierwszy, a kim drugi — prawda?

Szukając natomiast innego rodzaju informacji ściennie-parkanowej, czyli plakatów i afiszów — nie znalazłem jej. Szczecin jest jedynym miastem jakie znam, w którym nie ma ulicznej ekspozycji sztuki plakatowej. Bo chyba nikomu nie trzeba tłumaczyć, że plakat to nie tylko informacja (potrzebna przecież) na ogół dotycząca wydarzeń kulturalnych, ale również dzieło sztuki (w wykonaniu polskich artystów — najwyższej jakości). Taka uliczna galeria nie tylko ożywia szare na ogół ulice naszych miast, ale przyciągając oko przechodnia może zapropinować mu imprezę, której nie dostrzegłby w inny sposób. Poza tym (bez nadmierne go przeceniania zjawiska), dobry plakat poprzez permanentne narzucanie się świadomości odbiorcy, w tym wypadku przechodnia, może

Tajemnice Szczecina

wpływać na polepszenie przeciętnego gustu przeciętnego Polaka. W niejednym domu plakat zastępuje byle jaki obrazek. I dobrze. Dlaczego więc Szczecin nie obwiesza się plakatami? W czasie rozmowy o sprawach miasta, Ryszard Liskowski, naczelny redaktor Tygodnika Wybrzeża „Morze i Ziemia”, powiedział:

— Widzi pan, tak przyzwyczailiśmy się do ulic bez plakatów, że braku ich nie zauważamy. Trzeba przybysza z zewnątrz, by zwrócić na to uwagę. To bardzo trafna obserwacja. Szczecin nie ma takiej tradycji. Nie ma nawet wydzielonych miejsc do nalepiania plakatów. A dlaczego tak jest? Nie wiem.

Otóż to. Dlaczego tak jest właśnie w Szczecinie? I od kogo to zależy? Niby drobniak, jednak chciałoby się znać odpowiedź na to pytanie. Ja jej nie znalazłem.

Podczas przechadzki Wałami Chrobrego, reprezentacyjnym bulwarem Szczecina, natrafiamy na kolejny problem, wcale nie taki błaży w wyliczance typowych i nietypowych trudności tego urodzonego miasta. Otóż, niedaleko budynku Teatru Współczesnego (chyba najpiękniej położony teatr w Polsce) i okazałego gmachu Urzędu Miasta (w którym urzędzone są i oznakowane trasy dla petentów na wózków inwalidzkich — jakie to ma znaczenie dla tych ludzi, nie muszę chyba mówić), jest przystań stateczków tzw. białej floty, skąd biorą początek rejsy wycieczkowe po szczecińskim porcie i nie tylko.

FLOTYLI GROZI NATURALNA ZAGŁADA,

a to z powodu starości rzeczonych stateczków.

Odejdzie najstarszej „Diany” w stan spoczynku, co w praktyce oznacza „na zyletki”, stanowi nie tylko symboliczny początek końca „Lilii Weneda”, „Rosa Weneda” i kilkanaście innych trzymających się jeszcze, ale nawet w opinii fachowców — „na słowo honoru”. Jeśli natychmiast nie podejmie się jakichś istotnych decyzji, okazać się może, że za rok lub dwa, że bardzo atrakcyjne rejsy po Porcie Szczecin istnieć będą jedynie w szczęśliwej pamięci tych, którzy się jeszcze udało. Obecny rok jest rokiem wychowania morskiego społeczeństwa. Z jednej strony wielkie hasła, z drugiej — bliska ruiny floty, mogąca hasła te udatnie i pożytecznie wcielić w życie. Czy dojdzie do sytuacji, gdy port szczeciński ogładać będziemy jedynie na zdjęciach, ewentualnie przez lornetkę? A gdyby tak różne morskie instytucje z największym polskim armatorem, czyli Polską Żegluga Morską w Szczecinie, Stocznią Szczecińską im. Adolfa Warskiego i Portem Szczecin wspomogły uboższą siostrę (tzn. PP Żegluga Szczecińska) zawiadującą wycieczkowymi stateczkami i choćby wyremontowały stare, nie mówiąc o za-fundowaniu nowych jednostek? Gdy powie-działem o tym kapitanowi jednego z rozsypu-jących się stateczków, ten spojrzal na mnie jak na typowego matola, w dodatku ładowego i powiedział:

— Reforma gospodarcza spowodowała, że zanikły ostatnie więzi między, nawet pokrewnym, instytucjami. Każdy patrzy teraz na koniec własnej dupy, czyli zawartość swojej kieszeni i

nie popuści ani złotówki. Wątpię zresztą, czy i dawniej byłoby to możliwe. A pan, widać, romantyk i utopista. I to dziennikarz. Gdzie się pan uchowa? Trzeba być realistą. A realia są takie, że cała zabawa się skończy, gdy ostatnie pudło szlag trafi. A to się stanie niedługo.

Czy tak być musi? Czy nie ma na to rady? Mimo wszystko nie wierzę w tak czarny koniec białej floty, choć nie nie uzasadnia tego braku wiary.

No, ale dość czarnowidztwa i szukania dziury w całym (choć całe wcale nie jest całe, a dziury są „jak najbardziej” dziurawe). Są przecież w Szczecinie instytucje (myślę o kulturalnych) zdolne swą działalnością i osiągnięciami podnieść na duchu najczarniej nawet widzących pesymistów (jak ów Mruk z telewizyjnych przygód Gullivera). Najpierwszą jest niewątpliwie Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Stanisława Staszica. Kiedyś była to placówka jakich wiele: ani zła, ani dobra — przeciętna.

AŻ PRZYSZŁEŁ ODPOWIEDNI CZŁOWIEK,

obecny dyrektor, Stanisław Krzywicki. On to, wraz z grupą pracowników, którzy chcieli i umieli, stworzył nowoczesną, prężną, zasobną i widoczną nie tylko w tym mieście, placówkę. Rola jej w utworzeniu Uniwersytetu Szczecińskiego — to ewenement w skali kraju. To właśnie ranga biblioteki, a także posiadany

porcji słownych uścisków i ucałowań, cała sala płacze i szlocha, utożsamiając się z adresatką, jako że wszystkie są w jednakowej sytuacji. Niesamowicie musi to być widowisko. Nagrywanie pozdrowień z ładu w morze odbywa się kameralnie, pojedynczo, w specjalnym pokoiku, już bez zbiorowej emocji; wzruszeniu ulega nadająca mówiony list i, może nawet większemu, odbiorca tekstu, marynarz, gdzieś pod biegunem czy równikiem. Morski Ośrodek Kultury spełnia bardzo wiele innych zadań typowych dla placówki kulturalnej, lecz opisane wydały mi się najważniejsze, najbardziej różniące ją od „ładowych” domów kultury.

Ponieważ byłem w Szczecinie w czasie Mundialu, nie sposób pominąć tego tematu. Mecz Polska—Anglia, nieszczęsny dla „naszych”, oglądałem u znajomych (w hotelu telewizora nie było). Po fatalnej pierwszej połowie, zderzeni wylazli z ławki, do domu, by kupić jakiś alkohol w nocnym sklepie. Mimo iż była to późna noc, ulice zaroiły się (dosłownie) podobnymi nam zdegustowanymi amatorami czegoś mocniejszego. Sklep nocny był oczywiście obleśzony, czekać by trzeba z godzinę.

— Dwadzieścia minut temu nie było nikogo — narzekała sprzedawczyni.

Bardziej „oblatani” w Szczecinie znajomi postanowili iść „na mecie”. I tam, pierwszy raz w życiu

WIDZIAŁEM KOLEJKĘ DO MELINY.

Uformowana karnie na klatce schodowej starej kamienicy, szybko i sprawnie obsługiwana była przez „babkę” meliniarkę. Żadnych hałasów, porządek i ład, szepcane rozmowy — tak Polak też potrafi. Dopiero później, gdy bardziej niecierpliwi rozpijali „połówki” na półpiętrze, czy podwórku, a nieznajomi zaczęli się w grupy, zrobiło się głośniejsze. Ale żadnej awantury ani zaczepki nie zanotowano. Tak to narodowy smutek zbierał rodaków i połączył w nieutulonym żalu.

Miałem jeszcze jedną misję do spełnienia w Szczecinie. Należało dowiedzieć się w miejscowej dyrekcji PUPIK „Ruch”, czy i jakie są możliwości zwiększenia nadziału naszego pisma w miejscowościach wypoczynkowych, w związku z urlopowymi ruchami ludzian. Chodziło nam o to, by zapewnić czytelnikom ciągłość lektury „Odgłosów” w czasie wakacji, z dala od domów. Dyrekcja szczecińska odesłała mnie do... łódzkiego „Ruchu”, do którego ponoć należy wszystko. W Łodzi dowiedziałem się, że oczywiście zależy im na zwiększeniu wysyłki pisma „w Polskę”, robią to zresztą rokrocznie i nie tylko w czasie wakacji; proponują zwiększenie ilości egzemplarzy, wręcz wciskają, gdzie się tylko da. Ale tak naprawdę, to wszystko zależy od przedsiębiorstw terenowych.

— Jeśli oni zasignalizują, że jest zwiększony popyt na „Odgłosy”, natychmiast wysyłamy ile trzeba — mówi zastępca dyrektora do spraw kolportażu i kultury Karol Wiśniewski.

Serdecznie się jednak obawiam, czy gdziekolwiek i komukolwiek zechce się badać stan sprzedaży, nie tylko naszego pisma, i to w dodatku w czasie takich upałów jak tegoroczne. Nikt w tym kraju przecież sam nie dołoży sobie pracy. I oczywiście straci na tym klient, w tym przypadku czytelnik „Odgłosów”.

Na zakończenie, dla polepszenia ogólnego nastroju wakacyjnego

GARŚĆ CIEKAWOSTEK

I różnych „naj” z ziemi szczecińskiej: Most Długi w Szczecinie, pochodzący z końca XIII w. jest największym drogowym mostem w Polsce.

Wieża Stary Korzonek jest najbardziej ku zachodowi wysuniętą miejscowością w Polsce.

Jezioro Miedwie leżące między Szczecinem a Stargardem Szczecińskim, w którym żyją skorupiaki występujące w jeziorach alpejskich, jest położone na wysokości 14 m n.p.m. Jest kryptodepresją, to znaczy fragment dna leży poniżej poziomu morza, zarazeń jest to najniższy punkt w Polsce.

W okolicy wsi Grzędzice koło Stargardu Szczecińskiego znajduje się największe w Europie pole drumlinowe, składające się z 3500 wałów polodowcowych.

W Kłodkowie koło Trzebiatowa na drzwiach miejscowego kościoła znajdują się okucia z XIV wieku — najstarszy zabytek sztuki kowalskiej na Pomorzu Zachodnim.

W r. 1720 w Szczecinie urodziła się księżniczka Zofia Augusta Anhalt-Zerbst, znana jako carowa Rosji Katarzyna II.

W twierdzy szczecińskiej przez 2 lata przetrzymywany był generał Dezydery Chłapowski.

Ale najważniejsza jest informacja wakacyjna: średnie nasłonecznienie na Pobrzeżu Szczecińskim jest korzystniejsze niż w innych częściach kraju.

Słonecznego urlopu z „Odgłosami” (mimo trudności!).

MAREK KOPROWSKI

ZASIADA NA WIDOWNI KILKASET KOBIET.

Na scenie magnetofon i prowadzący „Imprezę” z magnetofonu płyną nagrane z radia pozdrowienia z morza, dla najbliższych. Po każdej

Ślad zielonej jaszczurki na piasku

Motto: Między wyobrażeniem
A tworzeniem
Między uczuciem
A odpowiedzią
Rozpociera się Cień
Życie jest bardzo długie".
(T. S. Eliot)

mam złożone jak do modlitwy dłonie
patrz — dalej niż w moje oczy
sobaczysz wygrzewając się na kamieniu
jeśli skóra leży obok jak sukienka
ocknie się kiedyś relacje słońce
i wyrzeźbi nowe schronienie w pustynnej
widylnie
(dla tamtego mężczyzny jest tylko zielona jaszczurka)
jeżeli umiesz patrzeć jak nikt
sobaczysz półną kobietę wygrzewającą się
w tym spojrzeniu
oby — nie w tobie nie zdradza (przed czasem) ucieknę
pustynia
w której się ukryję — jest tak rozległa
że strach wypuszczać się w drogę
(ciągle jestem zieloną jaszczurką dla tamtego mężczyzny)
kiedyś wrzucił moją skórę w ogień
mam złożone jak do modlitwy dłonie
spadnie deszcz



nie ukradę — już nie
nie ma we mnie wolnego miejsca
aby zmieścić choćby twój kontur
mam pełne ciało
to wszystko — kradzione
siedzę sobie w ciemnościach
jak ptak na gałęzi
i śpiewam
nie ukradnę ci — już nieczęsto
jesteśmy biedni (tak samo)

Odmiana w nas

plekto
które się we mnie otworzyło
nosi twoje imię — sam ASMODEUSZ za tobą
nie możesz być człowiekiem
co z prochu w proch
z tobą
moc niezwykła
a jeśli nie jesteś szatanem
musisz być Aniołem — blask taki bije z
ciebie
że muszę twarz zasłonić
nie możesz być człowiekiem
co z prochu w proch
z tobą
moc niezwykła
a ze mną — słabość ludzka
i nie może to być — abyś się odmienił
nie może
przedziś — wymodlić sobie plekto
niż
w ciebie wątpię

Znak pojednania

niech będzie światło
z tobą
zamiast grzesznego odbicia kobiety
umyję ci stopy przed wędrowną
za widnokrąg snu
daleś mi imię
z wschodów i zachodów krwi
a to nie to — które chciałam nosić
i niekasz
ślukając moje odbicie
(na odczytanie uroku)
a we mnie
zostaje ból spojrzenia — co się rozwiewa
w ciszy zupełnej
jak cień kobiety w oczach ślepego
czynię dłonią znak
(niech cię prowadzi)

Wieczór godny gali

Mimo dokuczliwych upałów, najnowsza wizyta radzieckich par baletowych, które po występach w Warszawie i Wrocławiu dały swój koncert galowy w łódzkim Teatrze Wielkim, zgromadziła w oba wieczory niemal komplet publiczności. Bardzo to znamienne, gdyż wśród zapowiadanych artystów nie było szerzej znanych nazwisk, a w dodatku oprócz renomowanych ośrodków baletowych Moskwy i Leningradu reprezentowane były głównie teatry z Wilna, Swierdłowska, Saratowa i Gorkiego, o których (w przeciwieństwie np. do Permu) polskiemu widzowi nie było wiadomo. A jednak, mimo wielkiej niewiadomości, zaufanie naszej publiczności do wysokiego poziomu radzieckiej szkoły baletowej, zwłaszcza w klasyce, okazało się silniejsze od kanikuli.

Z wymienionych sześciu ośrodków, reprezentowanych było siedem teatrów (gdyż z Leningradu dwa), a skoro już wdałem się w buchalterię, dodam, iż doliczyłem się w sumie ośmiu par. Powiedzmy od razu, że z tak licznej gromadki nikt nie schodził poniżej przyzwoitego poziomu warsztatowego, a większość ujawniła wysokie umiejętności taneczne.

Nie tylko zresztą klasyka baletowa w znanych opracowaniach dawnych sławnych mistrzów (Petipy, Fokina, Iwanowa czy Waganowej), która dominowała w pierwszej części programu, ale i utwory nowsze, w których zaznaczyły się próby nowatorskiego ujęcia, oglądało się na ogół z dużym zaciekawieniem. Największy niedosyt pozostawiły po sobie, moim zdaniem, utwory dobrze łódzkim widzom znane czy to z polskich, czy obcych wybitnych wykonawców. Mam na myśli m. in. inauguracyjny koncert Adagio z „Jeziora labedziego”, w choreografii Lwa Iwanowa, w którym do osłabienia napięcia przyczynił się, być może, dość skromnie brzmiący akompaniament (choć dla wykonawców żywy akompaniament, nie narzucający sztywnego rytmu rytmicznego, może mieć swoje dobre strony). Myślę, że również w Pas de deux z „Giselle” Adama (choreografia Mariusza Petipy), trudno byłoby komukolwiek przyćmić pamięć niezamomnianej kreacji Ewy Wylichowskiej, mimo iż Tatiana Fiesienko, której partnerował Andrzej Ustinow (z Teatru Małego Opery i Baletu w Leningradzie) zaprezentowała ten sam typ romantycznej ekspresji, wyzwalającej skojarzenia z dziewiętnastowiecznymi balerina-mi. Podobnie „Chopiniana” (Walc) w choreografii Michaila Fokina, w wykonaniu Natalii Bolszakowej i Wadima Gulajewa z Leningradzkiego Teatru im. Kiriwa przesłała bez silniejszego wrażenia, ta sama para pokazała się zresztą w II cz. koncertu od lewej strony w „Bachanaliach” Villa Lobosa, w choreografii Leonida Lebiediewa.

Solidnie, choć bez większego polotu wykonali „Adagio Walencjańskie” Arama Chaczaturiana (choreografia Borisza Baranowskiego) Swietłana Jerszowa i Walery Miklin z Gorkiego. Ten sam teatr reprezentowali w II cz. Swietłana Coi i Nadim Fiedielew w „Tańcach wieczornych” Schuberta, których choreografia jednak nie należała, moim zdaniem, przystawała do charakteru muzyki.

Przechodząc do wykonawców bez kwestii udanych, a przy tym gorąco na ogół przyjmowanych przez publiczność, trzeba przyznać „Grand pas classique” Aubera, w choreografii Wiktora Gzowskiego (w I części koncertu), gdzie precyzją i dystynkcją ruchu wyróżniła się na-

ra z Litewskiego Teatru Opery i Baletu w Wilnie, Nelli Bieriedina i Platis Skirmantas. Potwierdził on swoją wysoką klasę w II części wykonaniem sceny z „Notre-Dame de Paris” w choreografii Rolanda Petit. Związująca silne wrażenie pozostawiła po sobie rola męska, mimo ryzykownego radykalnego odstępstwa od konwencji estetyki (ale jakże inaczej można by wcielić się w postać Quasimoda). Jest zresztą moment, kiedy Dzwonnik pod wpływem uczucia jak gdyby prostuje się, przypominając o swoim kalectwie. Pomimo wszystkiego, nie udało się baletowi słynnego francuskiego choreografa wystawionemu w 1975 r. odnieść sukcesu równego „Esmeraldzie” Pugniego, inspirowanej przez ten sam wątek. Może muzyka Maurica Jarrego, z pewnością nie ustępująca Pugniemu, nie odpowiada jednak gustom publiczności? Właśnie „Grand pas” z „Esmeraldy” w choreografii Agrypiny Waganowej brawurowo wykonane przez Marinę Bogdanową i Jewgienija Amosowa ze Swierdłowska, zakończyło I część wieczoru. I od razu dodajmy, że ci sami tancerze potwierdzili potem swoje umiejętności w lirycznym „Romansie” Georgija Swiridowa, w choreografii Eduarda Smirnowa.

Jeśli wrócę jeszcze na moment do części I, to, aby wyrazić stanowisko dość chyba odosobnione, że mianowicie jako interesujące i godne uwagi oceniam, głównie ze względu na choreografię utrzymaną w konwencji pastiszu przez dziewiętnastowiecznego reformatora kopenhaskiego baletu, Francuza, Augusta Bournonville. „Pas de deux” z „Sylfidy” Levenskjöld, wykonany z ciepłym humorem przez wileńskich tancerzy — Loretę Bartusjowicz i Jonasa Katakina. Nie jest to zresztą najsłynniejsza „Sylfida” wśród baletów tej nazwy, a ponadto nie należy jej mylić z „Sylfidami”, czyli „Chopiniana”.

Nieco zagadkowo i zarazem intrygująco oddziaływało swoim przebiegiem dramatycznym Adagio z „Junony” Aleksieja Rybnikowa, w choreografii Anatolija Diemientiewa, w wykonaniu saratowskiej pary Ludmiły Nowikowej i Igora Stiecura. Ta sama tancerka, ale z Aleksandrem Stiepinkinem, wystąpiła w „Katarzyniarzu i muzie” Władimira Simakina, z choreografią tegoż Diemientiewa, główny ciężar wykonania spoczął jednak na tancerzu. Utwór ten (przyjęty bardzo dobrze), zbudowany jest na świetnym pomysły, ale mógł wzbudzać mieszane odczucia wskutek pewnej pretensjonalności i rozwlekłości.

Za to chyba wszystkich bez wyjątku musiało usatysfakcjonować Pas de deux z „Don Kichota” Minkusa, z choreografią Aleksandra Gorskigo, dzięki talentom i umiejętnościom wykonawczym znakomitej technicznie Swietłany Jermowej i Walentina Jemieca.

Występ radzieckich gwiazd baletu przeciągnął się do bodaj trzech godzin. Oprócz miłych przeżyć pozostaje jeszcze refleksja, że zarówno w głównych centrach sztuki baletowej jak i gdzieś całkiem „daleko od Moskwy” nie brak w Związku Radzieckim utalentowanych i świetnie wyszkolonych tancerzy, którzy z „murowanym” powodzeniem mogą reprezentować swój kraj za granicą.

JERZY KWIECIŃSKI

„KOZA NOSTRA” w Palmalandzie...



Jolanta Werfel, Stefan Lipiec i Marek Bień

„KOZA NOSTRA”, łódzki zespół kabaretowy, którego trzon stanowią JOLANTA WERFEL, STEFAN LIPIEC i MAREK BIEN, należy do czołówek polskich kabaretów, z wypracowaną formułą i formą na robienie prześmiewczych, inteligentnych, brawurowo zagranych i zaśpiewanych programów estradowych. Na maleńkiej scenie Klubu „Estrady Łódzkiej” „TEST” zaprezentowali swój najnowszy, premierowy program pn. „Palmaland”. Stefan Lipiec (autor

scenariusza) tym razem wymyślił historyjkę trójki Polaków: Władysława Walka, jego żony Mażenki i Mariusza Marii Wyroko Wyreczkiego, którzy jadąc na wycieczkę do Stambułu zostali „wyrzuceni” z trasy wypadu wprost na... bezludną wyspę.

Wartka akcja, świetne teksty mówione, kilka kapitalnych piosenek (Stefan Lipiec śpiewa rewelacyjnie), powodują, że widz dość szybko wciąga się w świat na Palmalandzie.

Śmiejemy się głośno i bijemy brawo, jakby nie zauważając że czasami to przecież my sami i kto wie czy właśnie nie tak zachowalibyśmy się w podobnej sytuacji i okolicznościach?

Kabaret Stefana Lipca różni się tym od wielu, niestety, pseudokabaretów grasujących po kraju, że zawsze ma świetny pomysł na zrobienie programu, że całość jest przemyślana do najdrobniejszych szczegółów i celnie puentowana we właściwych miejscach, że trójka artystów jest wszechstronnie utalentowana i znakomicie przygotowana do zawodu, że wypracowali swój styl i choć każde z trojga jest odrębną indywidualnością, to jakże świetnie uzupełniają się razem we wspólnych akcjach na scenie.

Całość wyreżyserował wytrawny fachowiec od kabaretowych żartów Krzysztof Jaślar.

Mamy więc w Łodzi kabaret z prawdziwego zdarzenia, jaka szkoda, że wciąż jeszcze nie spopularyzowany przez środki masowego przekazu, bo w kraju „Kozę Nostę” zdążyła już wypracować sobie estradową etykietkę ze znakiem „Q”.

Trzymać tak dalej!

BOHDAN GADOMSKI

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa
literacko — obyczajowa

WASATA JUDYTA

Odebrał mi z łęczckiego rękopis dawny, będący niegdyś własnością Jana Suheckiego, żupnika: Oni w dzień Młodziankowy 1726 r. poprzyklepiano karteczki, że na Nowym Świecie w dworcu na Sukowszczyźnie udawać będą komedję, a kto chce zobaczyć zapłaci tyńfa. Toć i ja poszedłem i rwałem boki, boć komedja była co się zowie do rzeczy. Udawał Holofernesa, najbardziej upodobał się tegi szlachcie co udawał Judytę, chciało aby on udając niewiastę przygołił wósy, ale żadną miarą nie chciał pozbyć się tej ozdoby, co mu nie miano za złe, bo i z wósem gracko niewiastę udawał. Cała ta komedja była w wierszach, która nazajutrz każdy co dostywał to powtarzał i jał wbiłem w pamięć kilka:
Otoż masz Holofernesie
Judyta twą głowę nieście.
Twoja duma nie pomoże,
Boś już bez głowy nieboże.
Nie trzeba było zbytków w wónie
I zaufa kobiecie.
Otoż dziś twoja pokora
I Nabuchodonozora.
Pokonała was Judyta,
Znajcież zuchy co kobieta!
„Kurier Warszawski” 1826 nr 308.

LOGIKA FAKTU

Niósł chłop drzewo przez ulicę i ustawicznie krzyczał: „Proszę strzec się! Proszę strzec się!” Wszyscy mu ustępowali z drogi, wyjąwszy jednego dumnia, o którego feź zawadził i suknię mu rozdarł. Porwał go natychmiast nasz panicz za ramię, zaprowadził do komisarza i chciał, żeby został ukarany. Komisarz pyta:
— Dlaczego ty rozdarł suknię jegomości?
Chłop na to otworzył gębę i nic nie mówił.
— Na coś rozdarł suknię? — powtarza komisarz, chłop milczy.
— Cóż to, czy ty nie myślisz?..
Wleśniak znowu nie mówił, tylko słucha.
Wtem panicz zniecierpliwiony odzywa się:
— Nie jest on niemy, tylko udaje niemego, bo nie ma co na swoją obronę powiedzieć. Słyszałem ja dobrze jak z całego gardła wrzeszczał: „proszę strzec się! Proszę strzec się!”
— Ha! kiedyś pan słyszał — odpowiada komisarz — czemuż się nie strzeż?
„Momus” A. Żółkowskiego (1820)

GDZIE JEST SEZAM?

W osobliwej ksiąteczce, wydanej w Paryżu w 1935 r. pt. „Rozważania mieszkańca Syrusza (Rzeczy już powiedziane, ale których nie będziemy nigdy powtarzali zbyt często)” znajdujemy taką oto historijkę:
Znana jest historia meża, który, gdy mu oznajmiono, że oszukuje go żona i że poniosł stąd szwank na honorze, odpowiedział na to z wielką siusznoscą, że nigdy nie mieścił swego honoru w... „Sezanie” swej żony. Czemu zresztą w ogóle upierał się ludzkie w uważaniu tego zwłaszcza miejsca za siedzibę cnoty kobiecej, podczas gdy nikt zgola nie lokuje honoru męża? czynny w odpowiednim organie jego ciała?

O PRACY

Adam Skwarczyński, polityk, publicysta i teoretyk myśli politycznej obozu sanacyjnego, w jednej ze swych programowych książek pt. „Wskazania” tak ocenia rolę pracy ludzkiej dla dobra narodu i państwa:

Niech sobie każdy należy do tej organizacji, gdzie mu sumienie i przekonanie należąć nakazuje. Ale należąć, niech każdy w swojej organizacji zajmie się przede wszystkim pożyteczną pracą, tj. pracą taką, której wyniki można obejrzeć czasem i wziąć w rekę, ocenić czy są lepsze niż były rok temu, czy jeszcze liche i wymagają poprawy.

Wtedy nie to będzie sprawą najbardziej wszystkich interesującą, czego „żądamy”, przeciw czemu „protestujemy”, co złego u drugich widzimy — ale to co robimy, co potrafimy własnymi siłami coraz lepiej wykonywać sami dla siebie i drugich, a przez to i dla całej Polski.

Taka praca daje widoczny dla wszystkich dorobek, dobry i pożyteczny i przez to nie będzie różniła i dzieliła, ale będzie łączyła. Będzie łączyła i ludzi między sobą, i organizacje także, choć mają one różne nierzadko i ideały; będzie łączyła we wspólnym dorobku dla siebie i dla całego Państwa, które przecie rośnie w siłę dorobkiem codziennym wszystkich ludzi.

ZŁA KSIĄŻKA — ZŁY TOWARZYSZ

Są ludzie, co lekceważą wpływ złych książek i nie wierzą, iżby czytanie mogło wyrażać, bezpośrednio sprawować skutki, ale ciż sami zeznają się, że złe towarzystwo psuje ludzi. A cóż jest złą książką, jeżeli nie zły towarzysz.

Pamiętniki rozumowane Zbiorek I. Wydał Józef Przecławski Wilno 1844

SZCZĘŚCIE W NIESZCZĘŚCIU

Cholewskiemu, zią żonę mającemu, ucięto nos w zwadzie; gdy go potem towarzysze i przyjaciele nawiedzali i starali się pocieszyć, on sam sobie największą dodawał pociechę, mówiąc:

— Tym się najbardziej cieszę, że mnie więcej żona za nos wodzić nie będzie.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Dni Ewy pobiegły teraz wartko jak nigdy dotąd. Wydawało jej się, że wszystko co robiła przedtem, było tylko przygotowywaniem się, sprężaniem do tego wielkiego skoku, który teraz nastąpił. Jakże śmiesznie wyglądały z dzisiejszej perspektywy dni zwątpienia i zalamania, które przeżyła po rozstaniu się z Jerzym! Jakże wstydziła się swych podświadomych zabiegów o znalezienie wsparcia na jakimkolwiek męskim ramieniu! Nikt jej przecież nie jest potrzebny. Wystarczyło jej zdać sobie z tego sprawę, a natychmiast poczuła w sobie zdolną obalać najcięższe przeszkody. Cała jej przeszłość okazała się nieudolnym człapieniem w miejscu, chwytaniem się niepewnych, a zupełnie zbędnych punktów zaczepienia, mazganiem się i rozkładaniem nad własną kobiecą słabością. Żalowała nawet, że kiedykolwiek wdawała się w jakieś męskodamskie układy, bo ile mogłaby już osiągnąć do tej pory, gdyby wystartowała od razu samodzielnie i pełną parą!

Małżeństwo nie wnosiło do jej życia nic poza elementami, które dziś wydawały się jej upokarzające. Jerzy był egocentrykiem w każdej dziedzinie życia i nawet seks potrafił sprowadzić do zaspokajania swoich i tylko swoich potrzeb fizjologicznych. Był jej pierwszym i jedynym mężczyzną, więc bez trudu przyzwyczała się do niego, przekonanie, że tak to właśnie powinno wyglądać: dająca kobieta i biorący jej pan. Nie miała pojęcia o innych możliwościach tej dziedziny życia, a lektury na ten temat śmieszyły ją po prostu i wydawały się jej reżymowymi stylizacjami niewartej tego historii. Za tę możliwość oddawania się niczym pigułka nasenna, wymagano od niej wierności, dbałości o prestiż i interesy rodziny, mądrości i przezorności życiowej, urody i reprezentacyjnego uśmiechu w każdej sytuacji, a w wyjątkowych, awaryjnych przypadkach — również prania i gotowania. W zamian nie była sama. Stanowiła cząstkę precyzyjnego mechanizmu, nie musiała martwić się o całokształt i popadła przez to w skrajne lenistwo myślowe.

Jedyną ucieczką od codzienności były jej obcowania ze sztuką sceniczną, która pozwalała jej poznać samą siebie w coraz to innych sytuacjach, dawała jej możliwość sprawdzenia się na różnych pozycjach i była erazatem autentycznej pełni życia.

Teraz przyszło jej stanąć w obliczu prawdziwej pełni i nie wiedziała na ile mogą się jej przydać wyniesione ze sceny doświadczenia. Samodzielnie, niczym nie skrupowane stanowisko Realni, podlegli jej ludzie, rzeczywiście sprawy i problemy do rozwiązania... To już nie scena, gdzie, nawet popełniając zbrodnie, można otrzymać oklaski. To życie, które w beznamiętny, obiektywny sposób weryfikuje prawdziwe wartości.

Zaczęła od zaznaczenia swej władzy. Być może nawet zdawała sobie sprawę, że jest to chwyt teatralny, ale nie mogła oprzeć się pokusie, żeby swoje „jestem” udokumentować pozorami, ale spektakularnym działaniem. Doskonale wiedziała, że niewiele jeszcze potrafi w praktyce, spodziewała się potknięć i niedociągnięć, więc właściwie w samoobronie wydała zarządzenia mające na celu zajęcie ludzi, którzy mogliby podglądać jej pierwsze kroki, konkretną, absorbującą ich pracę.

Pomysł był genialny w swej prostocie! Zarządziła przeprowadzkę. Gminny Ośrodek Kultury mieścił się w jednopiętrowym, niewielkim budynku. Na górę Dział Środowiskowy i — po sąsiedztwie — Zarząd Gminny Związku Młodzieży Wiejskiej, a na parterze Dział Artystyczny wspólnie z jednoosobowym sekretariatem, kadry, księgowość z kasą i salą konferencyjną. Gabinet dyrektorski również był na parterze i tam, po wydaniu stosownych poleceń, Ewa zamknęła się na klucz z niecodzienną w jej życiu lekturą. Czytała „Strukturę administracyjną ośrodków upowszechniania kultury” i „Podstawy zarządzania przedsiębiorstwem gospodarczym”. Słyszała za drzwiami szuranie przestawianych mebli i widziała przed sobą skomplikowane sznurki liter, próbując opowiedzieć jej o sprawach, które były jej obce i właśnie przez te obcość zdawały się ją podciągać.

Słyszała szuranie i widziała literę. Nie słyszała uwag wypowiedzianych półgłosem i nie widziała gestów pukania się w czoło.

— No powiedz pan sam, czy to było źle tak jak było? Co za sens przenosić księgowość na górę, środowiskowy na dół i jeszcze na dodatek artystyczny na miejsce księgowości, a środowiskowy do sekretariatu!

— Ano, nowa dyrekcja, nowe porządki. Niby tak, ale daj pan spokój! Czy ja się tu najmowałem do noszenia mebli? Nadszła się chwila tylko i nic z tego nie wyniknie. Pogina papiery, dokumenty, meble się poniszczą, same straty...

— Jest taka choroba, widzi pan, nazywa się przemoc kompetencji, ale to z czasem przechodzi. Zobaczymy jak będzie dalej. Jutro podobno zebranie.

Nie słyszała tych komentarzy i nie widziała pobłażliwych uśmiechów ani zniechęconych, złych twarzy. Mimo to czuła przez zamknięte drzwi napinającą się za nią atmosferę i z prawdziwą ulgą przyjęła wybiecie godzinę szesnastą. Budynek ośrodka opustoszał i uciekł jak wyciekanie. Otworzyła na oścież drzwi do gabinetu, cisnęła w kąt nieugryzioną książkę o zarządzaniu i zaczęła tanecznym krokiem przechadzać się po swoich włóczęgach.

— Ech, bałaganiarze! — mruknęła bez złości, widząc wszędzie porozkładane sterty nie uporządkowanych dokumentów, jakieś złamane krzesło, poprzewracane butelki od oranżady i wywróconą do góry dnem popielniczkę. Szafy i segmenty były już przeniesione, więc jutro do południa cały bałagan się skończy. Potem zebranie. Jej pierwsze spotkanie z zalogą. Próba nawiązania kontaktu. Nie znała się prawie wcale, zaledwie kilka twarzy widziała już przy jakiejś okazji. Czy będą to twarze życzliwych, oddanych jej ludzi, czy wrógie oblicza niezadowolonych podwładnych?

Poprzedni dyrektor nie cieszył się ponoć zbyt wielką sympatią zalogi. Czy był zbyt wymagający? Może niesprawiedliwy? A może załoga jest po prostu „na niego”? Może trzeba mieć jakieś oregospożyście, żeby przypaść do gustu tym ludziom? A może wcale się o to nie starać?

Miała odrobinę żalu do swego poprzednika, że zbudrowany niespodziewanym przeniesieniem, wyjechał z miasta, nie przekazując jej szczegółowo spraw, nie przedstawiając jej pra-

cownikom, rzucając ją od razu na głęboką wodę. Po namyśle zdecydowała jednak, że tak będzie lepiej. Nie będzie nikomu niczego zawdzięczała. Gdyby natknęła się na zbyt poważną przeszkodę, zadzwoni po prostu do Kamora i jego poprosi o radę. Jest jeszcze oddany jej Paweł Orłowicz, jest od biedy ten dziwny malarz z Warszawy, który pytał czy by go nie zatrudniła, będzie się na kim wesprzeć, ale to ostateczność. Przede wszystkim musi ufać sobie i swoim okazywać nikomu, że czegoś nie wie albo nie potrafi. Jak najszybciej zdobyć sympatię pracowników — to nie powinno być trudne — i szacunek pracowników — i z tym sobie jakoś poradzi...

A teraz jest już po pracy. Oderwać się jak najszybciej od natrętnych myśli o jutrzejszym dniu! Zająć się teraz czymkolwiek innym. Zaraz przyjdzie Paweł i odbędzie się próba generalna. O dziewiętnastej występ. To proste, łatwe zadanie powinno przynieść oczekiwane odprężenie. Powtórzmy teraz teksty i przebież się w kremowy spódnicę, a jutro... Nie! O jutrze będzie myślała jutro.

ANDRZEJ KRAKOWSKI

Występ (fragment powieści „Podwójny gambit”)

Teksty. Gdzie są te teksty? Co oni widzą w tej nowoczesnej poezji? Jeden wiersz na trzydzieści trafi się jakiś sensowny. Wiadomo wtedy gdzie akcentować, gdzie nabrać powietrza, gdzie zawiesić głos... A pozostałe to bełkot. Można je recytować jak popadnie, i tak na to samo wychodzi. Tym razem może to i lepiej? Jeśli się synie, nikt nie zauważy, byle tylko wiernie powtórzyć tekst, bo na salę będą przecież autorzy. Klub Pisarzy! Główniarze, cholera! Towarzystwo wzajemnej adoracji! Im bardziej kto udziwni tych parę przypadkowo zestawionych słów, tym bardziej go oklaskują ci, którzy najmniej rozumieją. Potem się to drukuje, pisze się uczone rozprawy o weryfikacji i poetyce, daje się do opracowania na scenę, publiczność mądrze kiwa nad tym głowami i czuje się uduchowiona. „Coś w tym musi być — myślała prości ludzie — coś musi być, skoro tyle szumu wokół tego”. Nie ma komu zakrzyknąć, że król jest nagi i stopniowo ci bełkotający smarkacze będą wyrastać na twórców narodowej kultury, albo znikną gdzieś w pomroce dziejów, przejdą przez poezję jak przez szkarłatny i wezmą się za uczciwą robotę.

Tylko w imię czego ona, dyrektor placówki kulturalnej, ma brać udział w tej mistyfikacji? A może właśnie tak trzeba? Zrobić mądrą minę i ciągnąć to wszystko razem z innymi? Nie może się teraz wycofać. To przedstawienie musi się odbyć. Jest zbyt poważna, zbyt odpowiedzialna osoba, żeby zawieść ludzi, którzy wraz z nią pracowali nad spektaklem.

Usiadła na biurku i zaczęła beznamiętnie czytać dobrze znane słowa wierszy młodych poetów. W porządku, na pewno się nie pomyli. Ciekawe jak malarz poradzi sobie ze sceną. Śmieszny facet. Mimoszwały taki, rozstrzęsiony, wrażliwy, zapatrzonny jej w oczy jak sztabak. Zapewne to taka poza. Po przekroczeniu barier, którą mu rzuciła pod nogi, okazałby się takim samym egoistą jak Jerzy. „Nie potrafisz zrozumieć artysty” — powiedziałaby z wyrzutem pewnego dnia. A kto rozumiał, rozumie albo będzie rozumiał ją? Ona także ma prawo uważać się za artystkę i zaraz to udowodni. Tak, zaraz dzisiaj, tymi metrymi tekstami! Wydobędzie z nich wszystko co tylko da się wydobyć. Odnajdzie tam treści, których sam autor nie próbował nawet zapisać. Pokaże im co potrafi... Pokaże im i co dalej? Dalej będą brawa i gupawo rozanielone twarze w pierwszym rzędzie. Potem uściski dion i gratulacje w kulisach, i cisza pustej garderoby... Cisza. Na zawsze już cisza. Tylko ta praca, którą dziś właśnie zaczęła, pozostanie jedyną jej sceną. Nie, nie! Nie myśleć o pracy!

Trzasnęły wejściowe drzwi i ich światło zgasła ogromna postać Pawła.

— Jesteś, Ewo? Jak leci?

— Leci, leci, niedźwiedziu.

— Wyobraź sobie, powiesili nad sceną ogromny transparent o Dniach Kultury Rolniczej. Piasecki jest wściekły. Rozbiła mu to całą koncepcję scenografii. Autorzy tekstów też nie są uszczęśliwieni. Ich klub obchodził dwudziestopięciolecie, chcieli, żeby to była ich samodzielną imprezą, a dopisano ich tylko jako punkt do jakiejś szerzej zakrojonej akcji.

— Ale my robimy swoje, gramy?

— Oczywiście, nie możemy zerwać umowy, tyle tylko, że nie lubię takiej atmosfery. Jak stoisz z tekstami?

— Nie ma sprawy, dam sobie radę.

— Rozmawiałaś z Henrykiem o ubraniach?

— Tak, ustaliliśmy, że zakładam jasny spódnicę.

— Masz go ze sobą?

— Tak, w samochodzie, zaraz się przebiorę.

— No to na jednej nodze, bo niewiele mamy czasu, a chciałbym jeszcze spróbować na osto.

— Jeszcze nie teraz — pomyślała — na próbę spokojnie. Dopiero podczas premiery... Wtedy już na całosc! Wtedy każde z tych przypadkowych dobranych słów musi uderzać jak kamień, musi znaczyć i to znaczyć więcej niż mieści się w jego semantyce. Przypomniały jej się studenckie wpadki ze szkoły. Próbowali wtedy w dowolnie wybrane słowo wkładać taki ładunek emocji, żeby za każdym razem znaczyło coś zupełnie innego. Żeby stół był raz drewnianym, kuchennym meblem, a innym razem znaczył biada, ucztę, orgię, albo pole bitwy debatujących władców świata. Jeśli te wiersze nawet mówią o niczym, jeśli są tylko zapisem jakiejś ulotnej refleksji, niezrozumiałej nawet i wieloznacznej, to nadając wagę poszczególnym słowom, można taką refleksję sprowadzić do rangi maksymy, do generalizującego problem

objawienia. Być może zrobi krzywdę tym młodym autorom, dyktantom niepowinnych wartości tego co robią. Być może wbił ich w ambiację, kiedy włoży w ich usta myśli, które nie przyszły im wcale do głowy, ale w tej chwili najważniejszy jest jej występ, jej gra i jej mądrość, którą uzupełnią kiepskie teksty ludzi umiejających tylko stawiać niezbyt konkretne pytania.

— Odwróć się — poprosiła Pawła i zaczęła odgrywać spódnicę. — Zażoło to i możemy jechać do teatru. Próbe zrobimy chyba już na scenie?

— Boję się, że scena jest jeszcze w rozpłyce. Poza tym kreci się tam masa ludzi, robią nagłośnienie, ustawiają dekoracje. Spróbujemy tutaj, na twojej sali konferencyjnej. Zaraz powinni być pozostali wykonawcy.

Zagrała zgodnie z planem: na luzie, wyciszona jakby, niechętna... Ale było coś takiego w jej grze, jakieś przyzwanie, wyraźnie zamierzona asceza, że Paweł uśmiechał się tylko i nie próbował niczego poprawiać. Wyczuł, że Ewa oszczędza siły na wieczór i wiedział, że są to siły ogromne.

Dwadzieścia minut przed terminem byli już w teatrze. Aktoży rozeszli się do garderób, a Paweł wszedł na widownię. Po scenie krzątali się ciągle w sposób nie bardzo skoordynowany, organizatorzy imprezy. Z foyer dochodził już przez uchylone drzwi szmer rozmów gromadzących się tam publiczności.

— Krzesła miało być pięć, nie cztery! — huknął trochę rozdrażniony Orłowicz.

— Tak, tak, zaraz dostawimy, trzeba tylko zdjąć tę cholerną planszę.

— Dyrekcja wyraziła zgodę?

— Musiała. To przecież do niczego niepodobne, żeby zasłaniać pół sceny napisem, który równie dobrze zagra gdzie indziej.

Paweł poznał głos Piaseckiego i odwrócił się szybko.

— A, jesteście! No i co ty myślisz o tym wszystkim?

— Trochę nie dograne te ich działania. Wszystko na ostatnią minutę.

— Amatoży. Najgorzej zadać się z amatożami. Ale to nic, przebijemy się przez to. Zaczynamy, mówisz, na ciemno.

— Tak. Ciemność, podkład z taśmy, te hałasy, traktor, snopowiązałka i w kulminacyjnym momencie jednocześnie cisza i punktowy reflektor na Ewę. Potem już tak jak chciałeś: znów hałas, ale przychylający i równoległe rozjaśnienie. Pełna jasność, pełna cisza i stukot maszyny do pisania. Po dwudziestu sekundach następny tekst. Maszyna stoi tam, na stoliku, na drugim, wazonik z różami, w lewej kulisie czekała ci z płosienką i po zaśpiewaniu siadają na tamtych dwóch krzesłach.

— W porządku. Tylko ci tutaj niech się pospiesza. Już za pięć słódma.

— Chyba na początku będzie jakaś pogadanka.

— Ja nie mam czasu na pierdoły. Mieliśmy wystąpić jako pierwsi.

— Tak, tak, ale dajmy im się przywitać. Te dziesięć minut nas przecież nie zabił. Podobno ma być telewizja.

— O! Słyszysz, Ewo? Telewizja nas skreśli — zawołał Paweł do nadchodzącej.

Nie odpowiadała, ale na policzki wypłynął jej rumieniec. Tym lepiej, tym ostrzej może zagrać. Staneł obok rozmawiających i powtarzała w myśl wszystkie zaplanowane poruszenia na scenie. Tutaj początek, przejście do stolika, zabawa kwiatkiem, zamyslenie, może jakaś reakcja na tekst któregoś z kolegów, uważne nasłuchiwanie w ich kwestie, potem drugi jej wiersz. Ten, który najmniej rozumie, ale który najbardziej chciałaby rozdmuchać swoją grą.

Z wolna sala zaczęła wypełniać się zaproszonymi gośćmi. Znała się ze sobą — starzy i młodzi. Uściski rąk, okrzyki radości, nawoływania. Nagle poczuła się trochę obco w tym tłumku. Klub pisarzy, obchodzący swoje dwudziestopięciolecie. Przyjechali ci, którzy budowali fundamenty, zebrał się młódz, początkujący zaledwie. Unosił się nad nimi aura ćwierćwiekowej tradycji, wspólnych wspomnień, dokonania. Teraz ona weźmie w ręce owoce ich pracy i ubarwi je swoim talentem. Będą jej słuchali jak zaklęci. To nie zwykła teatralna publiczność, która ogląda sztukę anonimowego autora. To ludzie, którzy oddali jej do obróbki własne życiorysy, własne duchowe rozterki, własne bijące serca... Poczuła jakiś rodzaj sympatii do tej szczególnej widowni. Nie może przecież ich zawieść. Nie tylko dla własnej ambicji zagra dzisiaj najlepiej jak umie, ale również dlatego, żeby oddać hołd ich wyteżonej, wieloletniej pracy, chociaż jej efekty niezapelniają się dla niej zrozumiale. I poczuła coś podobnego do zazdrości, że oni wszyscy mają sobie tyle do powiedzenia, że łączą ich tyle powiązań, że nawet dzisiejszy jej występ jest składanką, montażem ich wspólnych zapisów, a ona ciągle jest sama i nawet nie chce z kimkolwiek się wiązać, bo, znając życie, wie, że nic dobrego z tego nie wyniknie...

Zabrzmiła uderzenie w gong i natychmiast gwar zaczął przychodzić.

— Idziemy — Paweł objął ją ramieniem i poprowadził za kulisy. — Będziesz dzisiaj wspaniała — szepnął z przekonaniem.

— Najlepsza. Jak zwykle najlepsza! — odparła, śmiejąc się trochę nieszczerze. Znalazł się już za sceną, na której nieduży, krepawy blondynek witał wszystkich serdecznie, potrzącał struny sentymentów i budował świetliste gmachy nadziei na przyszłość. Zakończył zaproszeniem do obejrzenia spektaklu, który bę-

dzie niewątpliwie ozdobą tego waleznego spotkania.

To już, to już za chwilę! Powoli przycisła światło. Żeby tylko po ciemku trafić na swoje miejsce. Co tam? Jakaś utarczka przy wejściu.

— Nie, nie, panowie! Telewizja telewizją, ale jak jest ciemno, to nie wypuszczaj was z halogenem. Możecie kręcić później, jak będzie pełne oświetlenie.

— Panie, jak dla mnie, to ja mogę wcale nie kręcić. Ktoś to komuś taskę robi, czy co?

— Nikt nikomu taski nie robi, dziękuję panom.

A zatem nie będzie telewizji podczas spektaklu. Może to i lepiej? Te ich ostre światła, lerkot kamery mogłyby zadziałać rozpraszająco... Ktoś pchnął ją delikatnie do przodu.

— Zajmujemy miejsca — usłyszała za plecami. Trzema to nieuleczalna przypadłość. Jest zawsze, niezależnie od okoliczności, a to przecież jej pożegnalne, ostatnie wejście na scenę. Poczuła pieczenie na policzkach i przez moment słyszała bicie własnego serca. Zaraz potem zagłuszył je warkot maszyn, narastający, nabierający mocy jak zbliżająca się burza. Zrobiło się ruchliwie i gwarno dookoła, tętniła praca, migły żrzące dionie żniwiarek, gdzieś z daleka wiatr przyniósł dźwięk ostrzonej kosy, rytmicznie zastukała młockarnia, zapachniało ziemią, zakurzyło plewami i zakłóło w stopy ścierniskiem. Czegoś brakuje. Słońce! I oto ono. Uderza w twarz jaskrawą, złocistą poświatą. I cisza. W głębi duszy, daleko od ścieżek rozumu, rodzą się nagle słowa nie wiadomo kiedy i przez kogo zakodowane w pamięci. Proste, dosadne i niesące echo zmarłego przed sekundą hałasu, porządkujące ten hałas w polną, pocziwającą pracę. Słowa ściśle ze sobą zezębione, współpracujące jak tryby kombajnu, tworzące razem sygnalizację bochenek wiersza. I znów praca, już w pełni dnia. Tam w dali chyba strumyk tak z cicha mamrocząc, a tu upał i ości klujące w delikatne dionie. Ktoś mówi:

mam rodzinę o wieśniaczym rodowodzie a sam jestem

Księciem

mam cztery hektary ziemi a ziemia moja

Cesarska

mam rękę z porniętymi ścięgnami a reka moja

Odejścia

mam lek nerwowych Szpital! a lek mój coraz bardziej ludzki

Królewska

powszednie z każdą chwilą bardziej zwykły

Chamski (1).

I odzywa się w Ewie ten lek, i drgają nerwowo powieki. Ileż to razy słyszała te słowa i nie trafiały do niej nawet w połowie. A teraz tak ważą, tak znaczą, takim napawają przerażeniem że usława się nagle w cień kulisy. Ledwie widać ją stamtąd. Nieprzygotowany operator nie poprowadził jej światłem. Może zrozumiał? To dobrze. Teraz ten wiersz, nad którym tylekroć łamała sobie głowę, a on przecież jest jedyną, możliwą w tej sytuacji odpowiedzią. Pisało te teksty dwoje ludzi, a jakby rozmawiali ze sobą, połączeni mistycznym telegrafem zrozumienia.

spokojnie byle się nie ujawnić

— byle się nie ujawnić

bo podobno jestem szczęśliwa

cicho — mogą palić — matka nie krzyczy

nie wiedzą

podobno jestem radosna

a kamień u szyi nie ciąży

nie wiedzą — podobno mam wspaniałe warunki

a kula u nogi na wózku

cicho —

nie wiedzą

podobno jeszcze mogą oddychać

okna nie uszczelnione — cicho

nie wiedzą

(2)

Lęk odchodzi równie nagle jak przyszedł. Nie było go wcale? Był! Wykrzyknął się razem z tym wierszem, wyszeptał się zatrzwożnym drżeniem głosu, oczyściła się z niego podświadomość, wyparsknęła go blazynskim chichotem, utopiła w morzu aplauzu, który zerwał się przy otwartej kurtynie. Skupieni, zwróci w sobie i ciągle gotowi z kamiennymi twarzami aktoży czekają na koniec braw. Startuje taśma z inną niż dotąd muzyką. Bez hałasu, bez gwaru. I tę muzykę ogarnęło przeświśle katharsis. To pieśń oczyszczonych pól, a na tej pieśń wiersze i nowe doznania. Spokój. Sjęsta po żniwach. Dojrzała obfitość jesieni i ona, Ewa, w mrocznym pokoju poetów. Lekki rausz pod powiekami, wyskubany z róży krwisty płatek woni i refleksja, i ciche zadumanie...

a co jest poeta — a kto ją tam wie

a czymże poeta — a kto go tam zna

a co śni poeta w chryzantemy śnie

bo co chryzantema — to kto ją tam wie

i kto komu śni się i kto w czym śni

i co chryzantema śni w poety snach

a co jest poeta — a kto ją tam wie

a czymże poeta — a kto go tam zna

(3).

Henryk, Paweł, Mariusz Kamor stoją w pierwszym rzędzie, tuż przy rampie. Rozpromienione twarze. Wokół szczęśliwie uśmiechnięte kończące się brzoła. Wokół ociera nos wierzchem dion, w oczach ma łzy i znówu klaszcze, klaszcze do upadłego. Nie będzie bisu, przedstawienie skończone, a brawa nie milkną ani na chwilę, ani odrobinę nie słabną. Ratuje sytuację duet gitarowo-wokalny. Śpiewają wiersz Baczyńskiego do muzyki własnej kompozycji. Stopniowo wygasają emocje. Jeszcze brawa po piosence i zapala się światła na widowni. Oparta o stolik pod garderobianym lustrem, Ewa oplakuje zakończoną właśnie epokę. Jutro normalny dzień pracy. Na całe szczęście... być może...

[autorami cytowanych w tekście wierszy są Dariusz Wiśniewski (1), Alicja Bieda-Wiśniewska (2), Jerzy Jarmolowski (3)]

1919 roku. Linia Curzona miała być podstawą polsko-rosyjskiego rozejmu. Tak więc angielski lord miał tylko tyle wspólnego z „linią Curzona”, że podpisał odpowiedni dokument.

— W jaki sposób została ustalona granica w Prusach Wschodnich?

— Powiedziałem Stalinowi, że naród polski oczekuje, że całe Prusy Wschodnie będą należały do Polski. Józef Stalin na to: „Związkowi Radzieckiemu potrzebny jest na Bałtyku port nie zamrażający. Po tym wszystkim, co naród radziecki wycierpiał z rąk niemieckich agresorów i w pierwszej i drugiej wojnie światowej musi otrzymać dla moralnej satysfakcji „kuskok niemieckiej ziemi. Mówię o tym, aby nasi polscy przyjaciele zechcieli nas dobrze zrozumieć”.

Ponieważ już wcześniej powiedziałem, że mocarstwa postanowiły w Teheranie o przyłączeniu Królewca do ZSRR, więc o nim więcej nie było mowy. Jednakże Władysław Molotow proponował, aby takie miasta jak Elbląg, Augustów, Suwałki, Sejny pozostawić po stronie radzieckiej. Nie chcieliśmy się na to zgodzić, więc rozmowy znów przeniosły się do Stalina.

„Co ja z wami pocznę — powiedział do nas Stalin. — Co ja mogę zrobić, by was nie skrzywdzić i samemu coś zyskać”. Wziął swój słynny szkieletowy ołówek czerwono-niebieski i narysował grubą niebieską linię na północ od Elbląga korygującą na naszą korzyść projekt Molotowa.

Następnie Józef Stalin zaczął rozmowę o zachodnich granicach Polski. W Teheranie zaproponowano, aby ta granica przebiegała na Odrze i Nysie Kłodzkiej, nie Łużyckiej. Bez Dolnego Śląska, bez Świnoujścia, bez Szczecina była granica teherańska. Stwierdziłem, że jest to niesprawiedliwe, że Polacy mogą ubiegać się nawet o wyspę Rugie, która też kiedyś była słowiańska.

Moje argumenty na rzecz Nysy Łużyckiej były następujące. Rewizjonizm i próby odwetu będą się rodziły w Niemczech bez względu na to, czy my im zabierzemy jedno czy sto miast. Skoro więc mamy mieć na zachodzie wroga, to lepiej, aby granica z nim była jak najkrótsza. Na Nysie Kłodzkiej miałaby ponad 1000 km, a na Nysie Łużyckiej tylko 456 km.

Józef Stalin przedkładał strategiczne granice i strategiczne argumenty do niego przemawiały. Powiedział więc: „Zapiszemy tu do protokołu, że ZSRR będzie popierał Polskę na powojennej konferencji w sprawie Nysy Łużyckiej”. I znów tym samym ołówkiem, którym czerwonym nakreślił na mapie zachodnią linię graniczną.

Rozmowy te prowadziliśmy 24 i 25 lipca 1944 roku. Nie mogliśmy wtedy ujawnić naszych ustaleń, ponieważ Józef Stalin miał związane ręce umowami z mocarstwami zachodnimi i musiał się z nimi liczyć. Był to jednak nasz duży sukces, bowiem, jak mówiłem, wiadomo było, że ziemię polską wyzwoloną zostaną przez Armię Czerwoną i dlatego Związek Radziecki będzie miał decydujący głos w sprawie Polski.

W tym samym protokole noszącym datę 27 lipca 1944 art. 1 brzmiał: „Przy ustalaniu granicy między Rzeczpospolitą Polską a Związkiem Radzieckim przyjąć za podstawę tzw. linię Curzona. Poza tym rząd ZSRR zgodził się na następujące poprawki wymienionej linii na korzyść Polski, ustępując Rzeczypospolitej Polskiej:

a) obszar położony na wschód od linii Curzona do rzeki Zachodni Bug i rzeki Sokołija, na południe od miasta Krytow

b) część obszaru Puszczy Białowieskiej na odcinku Niemirów — Jajówka, położonego na wschód od linii Curzona, pozostawiając Niemirów, Hajnówkę, Białowieżę i Jajówkę po stronie Polski.”

O Puszczy Białowieskiej dyskutowaliśmy na samym końcu, bo przewidywałem największe kłopoty z wytyczeniem linii granicznej w tym rejonie. Władysław Molotow proponował nam Hajnówkę z przemysłem drzewnym, lecz bez jednego krzaczka Puszczy Białowieskiej.

Ja twierdziłem, że korekta linii Curzona w tym miejscu jest najmniej kontrowersyjnym postulatem poprawy wschodniej granicy.

Po wysłuchaniu naszych argumentów Józef Stalin bardzo się zdenerwował, bardziej niż o Chełmszczyznę i powiedział: „Nada kończy” dieto”.

Kiedy granice grały główną rolę

Poprosiłem o przerwę w obradach. Poszliśmy do sąsiedniego pokoju. Tam rozmowa była krótka.

Muszę powiedzieć, że Józefowi Stalinowi bardzo zależało na rozwiązaniu sprawy polskiej. To był niezwykle trudny problem międzynarodowy. Dotychczas wszystko układało się pomyślnie. 21 lipca powstał PKWN, 22 lipca poszedł w świat Manifest.

Kiedy więc podziękowaliśmy Stalinowi za dotychczasowe poprawki granic na korzyść Polski i poprosiliśmy, żeby zechciał jeszcze rozważyć sprawę Puszczy Białowieskiej, on tylko westchnął i powiedział: „Muszę się porozumieć ze swoimi Białorusinami”. Jakąś godzinę po tym zadzwonił Władysław Molotow z gratulacjami, Józef Stalin zgodził się na pół Puszczy Białowieskiej z Białowieżą włącznie.

— Gdyby na waszym miejscu znaleźli się przedstawiciele rządu londyńskiego czy wtedy granice Polski wyglądałyby podobnie?

— Według mnie tylko lewica miała szansę na pomyślnie rozwiązanie spraw granicznych. Gdyby Józef Stalin dogadał się z Londynem, to nie bilby się tak o nasze granice zachodnie. Również rząd emigracyjny nie był za przesuwaniem granicy tak daleko na zachód.

W czasie naszych dyskusji na ten temat w Moskwie, profesor Kot minister informacji w rządzie Mikołajczyka rozesał okólnik, w którym napisano: „Komitet Chelmski wysuwa linię Odry jako granicę zachodnią. Rząd Polski w swych rozważeniach terytorialnych wysuwał jedynie sprawę Prus Wschodnich, Gdańska, Śląska Opolskiego z małym zabezpieczeniem portów bałtyckich i przemysłu śląskiego, nie popierając demagogicznej i nierealnej linii Odry”.

W pięć miesięcy później, na łamach londyńskiego pisma „The Sunday Times” ukazał się wywiad z premierem rządu emigracyjnego, był nim wtedy Tomasz Arciszewski, który oświadczył wprost: „Nie chcemy Wrocławia, nie chcemy Szczecina”.

— Do Moskwy przybyliście jako delegacja Krajowej Rady Narodowej a odjeżdżaliście jako członkowie PKWN.

— Tak. Wobec ofensywy wojsk radzieckich zbliżających się do ziem polskich powstała konieczność utworzenia jakiegoś organu wykonawczego. Początkowo była nim Delegatura KRN dla Ziemi Wyzwolonych powstała 19 lipca 1944 roku,

kłora po trzech dniach, 21 lipca 1944 roku przemieniła się w Polskę. Komitet Wyzwolenia Narodowego PKWN działał do końca roku, kiedy to utworzono Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitej Polskiej.

— Jak było z międzynarodowym uznaniem PKWN i Rządu Tymczasowego?

— PKWN nie miał szerokiego międzynarodowego poparcia oprócz oczywiście stosunków z ZSRR. Czechosłowacja uznała nas „w połowie” poprzez zyciową współpracę Zdenka Fierlingera ambasadora w Moskwie. Współpracowaliśmy także z Jugosławią poprzez jej moskiewską misję wojskową. Potem odezwała się Szwecja, która nie miała z nikim kontaktów, ale potrzebowała do swoich hut i stalowni polskiego węgla, więc też się z nami tak półoficjalnie porozumiała. Podobnie było

— O czym z nimi rozmawialiście?

— Harriman przyjął nas w swojej prywatnej rezydencji. Najpierw podziękowałem w imieniu narodu polskiego narodowi amerykańskiemu i jego prezydentowi za wysiłek wkładany w pokonanie faszyzmu. Następnie zaczęły się pytania. Ambasadora interesował nasz stosunek do rządu londyńskiego, którego my uznaliśmy nie mogliśmy. Pytał o program KRN, a także o to, w jaki sposób przeszliśmy front.

Harriman był także zainteresowany tym, co myślimy na temat Wilna i Lwowa, linii Curzona. Wtedy ja odpowiedziałem, że linię Curzona w zasadzie uznajemy. Kiedy Władysław Molotow chciał się dowiedzieć o czym

— Ostatecznie sprawa granic została rozstrzygnięta na konferencji w Poczdamie.

— Wszystko to cośmy ustalili z Józefem Stalinem w Moskwie, zostało zaakceptowane przez sojuszników, głównie dzięki nieugiętej postawie Związku Radzieckiego i delegacji polskiej. Sir Winston Churchill powiedział wtedy słynne zdanie: „Polacy w 1920 roku poszli za daleko na wschód, a teraz chcą iść za daleko na zachód”.

Anglicy niechętnie popierali nas w sprawie granicy na Nysie Łużyckiej dlatego, że nie chcieli za bardzo osłabiać Niemców. Oni od lat prowadzą politykę równowagi na kontynencie europejskim. Jeżeli zauważą, że jakieś państwo wybija się na mocarstwo to starają się je osłabić cudzymi rękami. Po wojnie Brytyjczycy przerzucili się po stronie Związku Radzieckiego, dlatego chcieli z Niemcami uczynić przeciwwagę dla ZSRR.



z Francją, bo na terenie Polski znajdowali się francuscy jeńcy niemieckich obozów i oni chcieli się nimi zaopiekować.

— Będąc w Moskwie spotkaliście się jeszcze z ambasadorami Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii.

— Brytyjczycy nie chcieli nas przyjąć, tylko zaproponowali przysłanie dziennikarza akredytowanego w Moskwie. Z dziennikarzem nie chcieliśmy rozmawiać. Drugą propozycją było przyjęcie nas przez zastępcę ambasadora. Na to ja odpowiedziałem, że też wysłałem swojego zastępcę. Wreszcie skapitulowali i przyjęli nas bez wstępnych warunków i to trzy razy 26, 27 i 28 czerwca 1944 roku. Z ambasadorem USA Averellem Harrimanem rozmawialiśmy wcześniej, w niedzielę 11 czerwca i jemu wystarczyło jedno trzygodzinne spotkanie. Ambasadora brytyjskiego Archibalda Kerra sprawy polskie jednak bardziej interesowały.

— Uznać to oni nas nie uznali, ani jeden, ani drugi. Bronili też nie dali. Nawet prosili, aby nie ogłaszać publicznie, że u nich byliśmy, bo nie chcieli psuć sobie stosunków z rządem londyńskim, który dysponował przecież poważnymi siłami zbrojnymi na Zachodzie. Uchwalili KRN mówili jednak, że mamy spotkać się ze wszystkimi mocarstwami i to uczyniliśmy.

myśmy rozmawiali, ja mu o tym powiedziałem. On na to: „Chorosz, tak nade było otwierać”.

W czasie rozmów z Harrimanem i Kerrem poruszyliśmy jeszcze kwestię możliwości wojny anglosasko-sowieckiej. Takie pogłoski kolportowały niektóre osoby z rządu londyńskiego, żeby podtrzymać antyradzieckie nastroje w społeczeństwie. Na to ambasador Kerr stanowczym głosem powiedział, że sojusz trzech mocarstw jest mocny i trwały nie tylko na czas wojny, ale i po wojnie, i że możemy w Polsce oficjalnie i jak najszerzej o tym mówić i podawać źródło informacji czyli jego. Ambasador Kerr dodał: „Na świecie jest dużo durniów zarówno wielkich jak i małych, nie należy się nimi przejmować, ale trzeba wierzyć, że ludzie rozumni zwyciężą”. Na to ja odpowiedziałem — tak, ale to ja chodzę o durniów, którzy chcą rządzić krajem i z którymi alianci utrzymują stosunki, więc to chodzą o niebezpiecznych durniów.

Od ponad 200 lat sytuacja wewnętrzna w Polsce zależy od stosunków międzynarodowych. Ostatni raz byliśmy samodzielnymi w czasie odcięcia wiedeńskiej Jana III. Dlatego ważne jest prowadzenie rozsądnej polityki zagranicznej. Rząd londyński nie umiał tego zrozumieć. Oni byli tak zaślepieni, że chcieli, aby wojna trwała jak najdłużej, byle tylko Armia Czerwona nie wyzwoliła Polski. Nawet kiedyś napisali, że Polacy w kraju powinni szyn masłem smarować, żeby pociągi z bronią dla hitlerowców szybko docierały na wschód. To wynikało z klasowych niechęci do ZSRR i to ich osłabiło w polityce międzynarodowej.

W realizacji swej polityki Winston Churchill wykonał krok mogący mieć nieobliczalne skutki. Po podpisaniu kapitulacji przez hitlerowców, po 9 maja, trzymał w brytyjskiej strefie okupacyjnej przez długie miesiące kilkumilionową armię niemiecką, którą początkowo dowodził admirał Karl Doenitz, mianowany przez Hitlera prezydentem Rzeszy. Churchill przyznał po latach, że pragnął przy pomocy Wehrmachtu „powstrzymać ZSRR od penetracji Europy”. Dlatego wbrew postanowieniom Wielkiej Trójki nie rozbrojowano hitlerowskich żołnierzy. Zostawiono im broń, bo „w przyszłości mogli pomóc w walce z Rosjanami”.

Churchill miał bardzo „złą pamięć”. W październiku 1944 r. twierdził, że ludność niemiecką należy repatriować z ziem zajętych przez Polaków. 5 marca 1946 r. w Fulton powiedział zaś: „Zachęcano rząd polski będący pod wpływem rosyjskim, do dokonania olbrzymich i niesłusznych wtrąceń do Niemiec i teraz jesteśmy świadkami masowych wysiedleń milionów Niemców w stopniu bolesnym i o jakim nam się nigdy nie śniło”.

W Poczdamie Stanisław Mikołajczyk starał się dogadać z Anglikami w sprawie warunków, na jakich mają się oni zgodzić na Nysę Łużycką. Przede wszystkim chodziło o zobowiązanie się strony polskiej do ustalenia terminu i zasad przyszłych wyborów. Namówiony przez Mikołajczyka minister Bevin domagał się ciągłego ustalenia terminu wyborów: „Proponowałbym ustalenie terminu około lutego. Niech rząd polski złoży takie oświadczenie i po prostu wszelkie wysiłki, aby słowa dotrzymać”.

Na ustawiczne nagabywania Bolesław Bierut odpowiadał: „Nie możemy przyjąć takich zobowiązań, ponieważ byłoby to naruszenie zasad demokracji. Zagadnienie to musi rozstrzygnąć sam naród polski. Jakżeby to było, gdyby 26-milionowy naród nie miał prawa decydować o tym sam. Czy ktoś z zewnątrz musi być gwarantem naszych demokratycznych zasad?”. Tak więc nie złożyliśmy żadnego oświadczenia Brytyjczykom.

1 sierpnia 1945 r. o godzinie 10 rano prezydent Harry Truman zakomunikował Grabskiemu, Mikołajczykowi i Modzelewskiemu postanowienia Wielkiej Trójki w sprawie granicy zachodniej. „Granice terytorialne — powiedział — ustalone zostały zgodnie z propozycją polską”. Rosjanie zgodzili się na wycofanie swych armii i zatrzymują jedynie linię komunikacyjną biegnącą przez Polskę w celach tranzytowych. Tak zakończyła się sprawa zachodniej granicy Polski. Mnie i Bieruta nie było wtedy w Poczdamie, bowiem wcześniej odlecieliśmy do Warszawy.

— A granica wschodnia?

— Po zakończeniu konferencji poczdamskiej pojechaliśmy do Moskwy, aby podpisać umowę w sprawie granic i reparacji wojennych. Mimo postanowień z ubiegłego roku umowę taką trzeba było podpisać jeszcze raz, bowiem wtedy stronę polską reprezentował PKWN uznany tylko przez ZSRR, a teraz istniał Rząd Jedności Narodowej uznany przez wszystkie mocarstwa.

Bolesław Bierut chciał jeszcze poprawić granicę wschodnią na naszą korzyść. Chodziło o miasteczko Chyrow. Przebiegała przez nie linia kolejowa z Przemyśla do Ustrzyk Dolnych i Sanoka, dlatego zależało nam, aby ten węzeł kolejowy znalazł się w granicach Polski. W 1944 roku, do dziś nie wiem dlaczego, nie udało się przeformować tego postulat.

Stawianie sprawy po raz drugi wydawało mi się bezcelowe. Argumentowaliśmy nasze stanowisko dostatecznie mocno, lepsze były warunki polityczne i to co wtedy osiągnęliśmy uważałem za maksimum. Niemniej Bolesław Bierut jeszcze raz wysunął problem Chyrowa. Rosjanie powiedzieli, że uprzednia umowa została podpisana jako dobrze opracowana i lepiej byłoby w naszym interesie nie pretendować do zmian.

Potem powstał spór między Bierutem a Stalinem o wykorzystanie portu w Elblągu. Bierut chciał, aby do Elbląga wpływały statki wszystkich bander. Stalin powiedział: „Szpiegów chcecie nam nasysłać”. Stalin bał się obcych statków na Zalewie Wiślanym, bo miał bazy morskie w Piławie i Królewcu. W końcu argumenty radzieckie przeważały i wykorzystanie portu w Elblągu zostało ograniczone a Mierzeja Wiślana przecięta granicą.

Po tych rozmowach Józef Stalin był na nas bardzo zły, gdyż na skutek opracowywania poprawek w sprawie Chyrowa spóźniliśmy się o godzinę. Podpisanie umowy nastąpiło nie u niego, ale w gabinecie komisarza Władysława Molotowa. Bał się, że nie przyjdzie. Zjawił się jednak, lecz nie wygłosił żadnego przemówienia. Atmosfera była dosyć chłodna, więc krótka mowa tylko ja wygłosiłem.

Ostatecznie sprawa polskich granic została zamknięta tego właśnie dnia, to jest 16 sierpnia 1945 roku.

Rozmawiał:
MAREK MAMOS

CZY WAKACJE MUSZĄ BYĆ W WAKACJACH?

Dlaczego wakacje muszą zaczynać się w tym samym terminie dla setek tysięcy, jeśli nie dla milionów uczniów? O tym wie tylko resort oświaty. Nie pomnę już gdzie, lecz kilka miesięcy temu czytałem kolejny wywiad z Panią Minister, która stwierdziła, iż dokonanie jakichkolwiek zmian jest niemożliwe. Dlaczego — nie pamiętam, lecz widzę argumenty były na tyle mizerne, że nie wbiły mi się w pamięć.

A tymczasem i w tym roku, jak zwykle będziemy się wściekać na tłok w okresie wyjazdów na wakacje, na 10 lub 12 dzieciaków w jednym przedziale wagonu PKP, na niedogodności związane z koniecznością przewiezienia niematego przeciętnej ilości osób w ciągu kilku krytycznych dni.

Powiada Wacław Kiliński, zastępca naczelnego dyrektora Dyrekcji Przewozów i Eksploatacji Handlowej PKP (cytuje za „Przekrojem”, z 22 czerwca 1986 r.): „...generalnie, jako PKP jesteśmy za rozłożeniem wakacji... ta sprawa pozostaje od kilku lat przedmiotem debat na szczeblu rządowym... i nie ma zgody między zainteresowanymi ze względu na stanowisko Ministerstwa Oświaty i Wychowania, które uważa, że nie powinno się zmieniać... GKKFIT, handel i my jesteśmy za zmianą, w sposób znakomity rozstrzygałoby to problem bazy, wyżywienia i szeregu innych. Elastyczność jest nieodzowna...”.

„Przekrój” jest konsekwentny. Już chyba cztery lata temu podawał przykłady z państw o wiele od nas bogatszych i zaobecnijemy, w których terminy zakończenia roku szkolnego są rotacyjne. Jakos to nikomu nie przeszkadza, a dzieci i rodzice nie nabywają psychozy „jak to też w tym roku się dostanie na kolonie?”.

Nasze władze oświatowe mówią „nie”. I nawet przez pewien czas myślałem, że to stanowisko jest uzasadnione przeładowaniem programu, zajęć itp. Trudno przecieć robić rewolucję dodatkową, jeśli swego rodzaju rewolucję, poddaną, wprowadzić (podobno) dyskusji jest, czy zajęcia mają się odbywać w soboty, czy nie.

Tak myślałem, lecz już nie myślę. Moje dziecko bowiem, uczeń siódmej klasy jednej z tysięcy szkół podstawowych, znalazło mi 20-czerwca, że „zdaje” książki. Pytam: czy to znaczy, że już nie będziecie robić? Odpowiedź brzmiała: Tata, wczoraj była rada pedagogiczna i sprawy stopni i przejścia do następnej klasy już są załatwione.

Przyjąłem to oświadczenie do wiadomości, a 23 czerwca zobaczyłem w domu komplet książek do klasy ósmej. Co te dzieciaki będą robiły w ostatnim tygodniu zajęć — nie wiem i się chyba nie dowiem. Zakończenie roku podobno przewidziane jest na 27 czerwca (piśnię do 25), choć władze oświatowe kategorycznie stwierdziły, że koniec roku będzie 30 czerwca.

Nie chodzi mi przecieć o to, aby podać w wątpliwość działanie tej właśnie szkoły. Przypuszczam, że jest tak w większości szkół i to z uzasadnionych przyczyn. Wracam jednak do sprawy wakacji.

Cały czas, sugerując się stanowiskiem resortu, nie dopuszczałem do myśli możliwości, iż mógłbym dziecko wysłać na wypoczynek nieco wcześniej. Tym samym — będzie ono prawdopodobnie poddane niedogodnościom, wynikającym z poważnego potraktowania sprawy przez większość rodziców, wierzających w to, iż cztery tygodnie, rok szkolny kończy się 30 czerwca. I wyjedzie w tłoku, bagażem, którego nie sposób uniknąć.

WAF.

OD REDAKCJI: Problem poruszony przez naszego korespondenta tylko pozornie wydaje się taki prosty. Był zresztą w Polsce taki okres, kiedy nie wszystkie szkoły miały wakacje w jednakowym czasie. Odrzucono takie rozwiązanie. Nie zdało ono egzaminu w praktyce. A chyba praktyka społeczna jest najwyższą formą sprawdzania, czy coś jest dobre, czy nie. Coś może się sprawdzać w jednym kraju i nie sprawdzać w innym. Nie jest to w żadnym wypadku kryterium oceny.

Co — naszym zdaniem — przemawia za tym, że wakacje muszą być w wakacje, a nie w innym czasie?

Po pierwsze — fakt, że wiele kolonii lokuje się w szkołach. A zatem te szkoły, w których lokuje się kolonie i te, z których dzieci jadą na kolonie muszą mieć wakacje w jednym czasie.

Po drugie — wiele dużych fabryk udziela urlopów wszystkim swoim pracownikom w jednym terminie — w lipcu lub w sierpniu. W fabryce pozostają tylko służby remontowe. Rodzice otrzymujący w tym czasie urlop chcieliby, aby ich dziecko też miało wakacje właśnie wtedy.

Po trzecie — opiekunami dzieci na kolonach są przede wszystkim nauczyciele. Muszą mieć wolne, aby móc podjąć się tej funkcji. Czynną to kosztem części swoich wakacji.

Po czwarte — w naszej strefie klimatycznej wakacje muszą przypadać na lato. Jest to jedyna pora, kiedy można w zasadzie korzystać z dobrodziejstw kąpieli w morzu, rzekach i jeziorach, wybierać się na wycieczki w góry, uprawiać turystykę. Ani czerwiec, ani wrzesień takich warunków jak w lipcu czy sierpniu nie gwarantują. Ze czasem lato bywa chłodne i deszczowe — to już inna sprawa.

Po piąte — wakacje są dla dzieci, dla nauczycieli, a urlopy dla ludzi pracy. Rozumiemy, że wielu instytucjom zobowiązanym do obsługi kolonistów, urlopowiczów, jak choćby PKP, PKS, FWP i temu podobnym, byłoby lepiej, gdyby wakacje i urlopy rozkładały się bardziej w czasie. Pytanie powinno jednak brzmieć prawidłowo: kto jest dla kogo, urlopowicz czy kolonista lub wycieczkowicz dla tych instytucji, czy one dla niego? Odpowiedź może być tylko jedna: te instytucje są powołane do obsługi kolonistów, urlopowiczów, turystów, wycieczkowiczów.

Tak widzimy tę sprawę. Nie będziemy się jednak upierać przy naszym stanowisku, jeśli przedstawi się nam rzeczowe, uzasadnione argumenty, że może być inaczej i nie będzie bagażu i nie będzie jeszcze gorzej. W liście naszego korespondenta takich argumentów nie ma. A co sądzi o tym nasi Czytelnicy? Chętnie opublikujemy wypowiedzi na ten temat. A więc piszcie, czy wakacje muszą być w wakacje?

INFORMATOR POLSKI 1984/1985

Parę słów więc o „Informatorze Polski '84/85”, który jest jeszcze tu i ówdzie do nabycia.

Pierwsza edycja „Informatora” przeznaczona jest „dla wszystkich, których zainteresowania, praca zawodowa, działalność polityczna i społeczna wymaga kontaktów z centralnymi i wojewódzkimi władzami, oraz organizacjami społecznymi, jak anonsuje wydawnictwo KAW w słowie „Od Redakcji”.

„Informator” zawiera ponad 2800 haseł rzeczowych i kilka tysięcy informacji personalnych. Informacje, tj. nazwa organu, instytucji, stowarzyszenia itd. z adresem oraz imieniem i nazwiskiem

lidera czyli przewodniczącego, prezesa, redaktora naczelnego itp. pomieszczono w 18 działach pod przykładowo: „Naczelne organy władzy państwowej”, „Kościoły i związki wyznaniowe”, „Oświata”, „Stowarzyszenia społeczne” itd. na 468 stronach. W wyszukiwaniu informacji pomaga Indeks rzeczowy (Instytucji). Może szkoda, że nie wydrukowano także indeksu nazwisk.

Jak każda praca, zwłaszcza pionierska, ta praca zawiera omyłki czy opuszczenia. Oto imię redaktora naczelnego „ODGŁOSÓW” zmieniono na „Julian” (s. 238). Brak adresów redakcji czasopism naukowych, technicznych i branżowych; brak wzmianek o instytucjach naukowo-badawczych przemysłowych (resortowych) i o środkach badawczo-rozwojowych; brak niektórych towarzystw jak Polskiego Towarzystwa Higieny Psychicznej, Polskiego Towarzystwa Chemicznego.

Pełnej dobrych chęci Redakcji, która zwraca się z prośbą o uwagi, można by zalecić ściślejszy kontakt z zespołami redakcyjnymi wydawnictwa „Kto jest kim w Polsce” oraz „Informatorów” typu „Informator Nauki Polskiej” (wydawanego przez Centrum Informacji Naukowej, Technicznej i Ekonomicznej). Współpraca między tymi zespołami będzie wielostronnie korzystna.

E. T. KNYPL

PANNA JULKA I DOKTOR

Panna Julka odwiedziła mnie ze swoim znajomym niejakim panem Kazikiem.

— Kaziu jest doktorem nauk humanistycznych — przedstawiła znajomego z nieukrywaną dumą.

— Daj spokój — oponował przedstawiany, a w jego uśmiechu radość i zażenowanie walczyły o lepsze.

— Długo pan pisał ten doktorat? — zagadnąłem uprzejmie.

— Przygotowania trwały przez cztery lata. Przesładywałem w bibliotekach, robiłem badania, szukałem źródeł. Niestety, większość prac była dla mnie niedostępna. Ciężko finansowo podjęły księgozbiory biblioteczne i teraz najlepiej jest studiować historię bibliotekoznawstwa do roku 1965.

— Cztery lata?

— Tak. Na okragło, świętę pląte i w niedzielę. To nie była praca od ósmej do szesnastej i wio do domu, gdzie czekał spokój, odpoczynek po pracy i miękkie pantofle.

— Dużo pan włożył w to wysiłku.

— Wysiłku i pieniędzy.

— Kupił pan doktorat?

— Nie — roześmiał się pan Kazik. — Skądże znowu. Ale proszę policzcie. Bronilem się w Poznaniu. Dwa, trzy razy w miesiącu jeździłem do Poznania do promotora. I tak przez trzy lata. To ma pan jakieś trzydzieści tysięcy złotych wpłaconych za bilety do kasy PKP. Przepisywanie 270 stron pracy kosztowało dwadzieścia siedem tysięcy złotych. Tylko tyle, bo po znajomości. Oficjalnie byłoby około czterech dych. To już razem prawie sześćdziesiąt tysięcy. A papier na pięć egzemplarzy, a książki, a oprawa pracy. Będzie z osiemdziesiąt.

— No, ale teraz to pan dostanie godziwą podwyżkę.

— Pan Kazio nie dostanie nic za doktorat — wyjaśniła panna Julka.

— ???

— Zgadza się. Doktorat to moja sprawa osobista. W rektoracie uczelni, w której pracuję, wyjaśniono mi, że „my płacimy za stanowisko, a nie za tytuł. Z tego pan powinien mieć satysfakcję”.

— To po jakie licho pan pisał ten cholerny doktorat? — nie potrafiłem ukryć irytacji.

— Poza względami, nazwijmy je poznawczymi, to gdybym nie napisał doktoratu, to w przyszłym roku wywaliliby mnie z uczelni. Rotacja pracowników naukowych, którzy nie dopełnili obowiązku zrobienia doktoratu w ciągu kilku lat po skończeniu studiów.

— A ile pan zarabia jako pracownik naukowy?

— Z tytułem doktora nauk humanistycznych dostanę już prawie piętnaście tysięcy.

— Do tego premie, dodatki.

— Nie z tych rzeczy. Raz do roku trzynastka i to wszystko. Widzi pan, dawniej jak alchemik albo uczonej pracowali na dworze, to chociaż dostali dobrą wyżerkę.

— Niech się pan rozmurzy. Nie trzeba zaraz upadać na duchu. Przecież pracuję pan dla swojej satysfakcji — starałem się go pocieszyć, nalewając pięćdziesiątkę czystej, a jasny, rześki, pełen optymizmu głos informował z wyszobylskiej, radiowej „trójki”, że młodzież ma szansę zarobienia na swoje wakacje. Najchętniej pracując w handlu. Płace wprawdzie nie są zbyt wysokie, piętnaście—siedemnaście tysięcy miesięcznie, ale za to jaki kontakt z ludźmi.

Wypiliśmy.

ANDRZEJ BETULSKI

CO MOŻNA LECZYĆ W BUSKU?

Busko, to stare miasto, któremu prawa miejskie nadał w 1287 r. Leszek Czarny — książę łęczycki, sieradzki i sandomierski. Miasto stanowiło własność klasztoru Norbertanów aż do kasacji klasztoru w 1819 roku. Pełniło względem klasztoru funkcje usługowe i służebne, głównym zajęciem ludności była hodowla bydła i trzody. Pierwsza wzmianka o występowaniu w Busku solanek pochodzi z 1252 r., jednak jako właściwą datę odkrycia źródeł przyjmuje się rok 1776, kiedy to komisarz klasztoru, ks. Franciszek Ossowski, odkrył obfite źródło słonogorzkiej wody i próbował wyczerć z niego sól. Filip Carosi, nadworny dyrektor górnictwa Stanisława Augusta Poniatowskiego orzekł jednak, że buskie źródła mineralne nie nadają się do eksploatacji soli kamiennych. Solą buską interesował się następnie Leonard Beust, dyrektor salin saskich, który nawet założył w Busku spółkę akcyjną, liczącą 12 akcjonariuszy, a mającą na celu założenie „fabryki solnej”. Te fabrykę zwiedził nawet król Stanisław August Poniatowski w 1787 roku. Okazało się, że soli niewiele otrzymywano z warzenia solanki buskiej.

Lekarz miejscowy Winterfeld założył, że solanki te mają właściwości lecznicze, zaczął zatem eksperymentować na zwierzętach. Otrzymał pomyślne wyniki, które zwróciły uwagę społeczeństwa. Już w latach 1825—1835 coraz więcej pacjentów poddawało się kuracji w Busku.

Busko, tak jak całe państwo polskie, ma swoją burzliwą historię. Złożone warunki nie sprzyjały rozwojowi wiedzy o uzdrowiskowych właściwościach jego wód (zabór austriacki a następnie rosyjski).

Z chwilą odzyskania niepodległości Busko znalazło się pod właściwą opieką własnego narodowego rządu. Od tego czasu (od 1918 r.) zakład zaczął się rozwijać, może nie w tak szybkim tempie, jak inne zdrojowiska, ale za to dość planowo i systematycznie.

W Małopolsce, która posiada wiele zdrojowisk, powstało Polskie Towarzystwo Balneologiczne. Towarzystwo to wytyczało kierunki rozwoju uzdrowisk i gwarantowało opiekę naukową zdrojowiskom. Pionierem polskiej balneologii był J. Dietl (1804—1878); on również pracował nad zbadaniem wód buskich. Dobrze się uzdrowisku zasłużyli: L. Korczyński, Pelczar, Praschli, Cybulski, Zanietowski i Lewicki.

Busko-Zdrój z każdym rokiem bardziej się rozwija, a działalność Uzdrowiska widzi się każdego dnia — najbardziej oczywistym dowodem działalności wód buskich jest duża ilość pacjentów wyleczonych z uciążliwych, bolesnych chorób.

Naturalnymi środkami leczniczymi w Busku-Zdroju są wody mineralne i borowinowe. Wody mineralne uzyskiwane są z otworów wiertniczych znajdujących się na terenie Uzdrowiska i okolicy, należą one do dwóch typów chemicznych:

— woda chlorkowo-sodkowo-bromkowo-jodkowo-borowo-siarczkowa oraz

— woda chlorkowo-sodkowo-bromkowo-jodkowo-żelazisto-borowa.

Woda pierwszego typu należy do rzadko spotykanych wód mineralnych zawierających siarczki z uwalniającym się siarkowodor. Łączna zawartość siarczków i siarkowodoru, będących głównym czynnikiem terapeutycznym, stawia Busko w rzędzie najlepszych uzdrowisk tego typu w Europie.

Wody drugiego typu są określane potocznie, z racji zasadniczej aktywności, jako solanka jodobromowa. Zawiera ona w znacznych ilościach: jod, brom, selen, kwas metakrzemowy i wiele innych mikroelementów, podobnie jak woda pierwszego typu.

Znaczna ilość mikroelementów, w szczególności selenu, w tych wodach czyni je pożytecznymi również w kuracji pitnej. Wody siarczkowe przyczyniają się do odbudowy białek, wzrostu poziomu glutationu i grup sufitrylowych, powodują spadek poziomu kwasu moczowego w surowicy krwi. Ponadto eliminują s utroju: ów, rtęć, bizmut, ceren, srebro...

W Uzdrowisku „Busko-Solec” lecznictwo uzdrowiskowe realizowane jest systemem sanatoryjnym, szpitalnym i ambulatoryjnym.

Podstawowym profilem sanatoryjnym i ambulatoryjnym jest leczenie schorzeń narządu ruchu powstałych na skutek reumatyzmu. A zatem leczy się: reumatoidalne zapalenie stawów, zeszywniające zapalenie stawów kręgosłupa, gościec tkanek miękkich, chorobę zwyrodnieniową stawów i kręgosłupa.

W lecznictwie szpitalnym są następujące kierunki: schorzenia narządów ruchu o bardziej zaawansowanym procesie chorobowym, schorzenia obwodowego układu nerwowego z dyskopatią (polineuropatię różnego pochodzenia, zespoły korzeniowe w przebiegu dyskopatii i zmian zwyrodnieniowych kręgosłupa, zespoły wiotkie i spastyczne kończyn pochodzenia rdzeniowego u chorych z pełną samoobsługą: choroby skóry (łuszczyca zwykła i jej odmiany, alergiczne choroby skóry, zespoły pozakrzepowe kończyn dolnych, choroby zawodowe skóry, schorzenia włosów i łysienie plackowate; choroby układu krążenia).

W Szpitalu Kompleksowej Rehabilitacji „Górka” im. dr. Szymona Szarkiewicza leczy się dzieci z mózgowym porażeniem dziecięcym oraz operuje wrodzone zwężenia stawów biodrowych, skoliozy oraz inne wrodzone zwężenia stawów i nabyte zwężenia i dysfunkcje układu ruchu.

Szpital prowadzi szkołę dla matek opiekujących się dziećmi przebywającymi w szpitalu. Matki zdobywają wiedzę w zakresie niezbędnym do ich udziału w rehabilitacji własnych dzieci.

Busko-Zdrój posiada nowoczesny Zakład Przyrodolecznictwa i wiele ośrodków badawczo-konsultacyjnych, które są prowadzone przez Instytut Akademii Medycznej w Krakowie.

W Busku prowadzi się ukierunkowane badania naukowe mające na celu poszerzenie profilu leczniczego. Chodzi tu o choroby naczyń obwodowych, choroby endokrynologiczne, ginekologiczne...

Duże możliwości rozwojowe posiada Zakład Lecznictwa Uzdrowiskowego w Solcu (wieś z uzdrowiskiem czynnym od 1837 r., filia Buska). Ostatnio odkryto w Solcu-Zdroju w odwiercie „Molina” siarkowodór o dotychczas niespotykanym stężeniu, wynoszącym 980 mg w litrze wody. Jest to wielka szansa dla tego Uzdrowiska, które posiada jeszcze nie skażone środowisko naturalne oraz znaczne zasoby parkowej i leśnej zieleni.

W Polsce funkcjonuje 26 przedsiębiorstw uzdrowiskowych. W przedsiębiorstwach tych prowadzi się leczenie szpitalne, sanatoryjne i ambulatoryjne. W przedsiębiorstwie Busko-Solec obok lecznictwa zamkniętego (szpitala i sanatorium) istnieje możliwość leczenia ambulatoryjnego. W pobliżu uzdrowiska istnieje duża liczba prywatnych wili i pensjonatów, wiele z nich jest doskonale wyposażonych. Istnieje możliwość korzystania z prywatnych jadalni, gdzie wydawane są domowe obiady.

ZOFIA LECH
Warszawa

PODYPLOMOWE STUDIUM UŁ WIEDZY O FILMIE, TEATRZE I TELEWIZJI

przyjmuje zgłoszenia na studia podyplomowe w r. 1986/87.

Studia trwają 1 rok, zajęcia odbywają się co 2 tygodnie w niedzielę i poniedziałki (trzy zjazdy: niedziela, poniedziałek, wtorek).

Program Studium przewiduje m. in. zajęcia z historią i teorią teatru, dramatu, filmu i telewizji programowej, zajęcia warsztatowe oraz projekcje filmowe i spektakle teatralne.

O przyjęcie na Studium ubiegać się mogą osoby, które posiadają dyplom ukończenia studiów wyższych, 2-letni staż pracy, zatrudnione w szkolnictwie lub w instytucjach zainteresowanych dokształcaniem swoich pracowników w zakresie problematyki objętej programem Studium. W skierowaniu zakład pracy winien zobowiązać się do pokrycia wszystkich kosztów, związanych z kształceniem swego pracownika. Z opłat zwolnieni są nauczyciele.

Zgłoszenia należy kierować pod adresem Podyplomowego Studium Wiedzy o Filmie, Teatrze i Telewizji 90-436 Łódź, al. Kościuszki 65, tel. 36-83-94, do dnia 15 września 1986 r.

Wymagane dokumenty: podanie, życiorys, protokół kwalifikacyjny, 3 fotografie, poświadczony kwestionariusz osobowy, dyplom ukończenia studiów wyższych, świadectwo lekarskie, wyciąg z dowodu osobistego.

Lipa w Glupicach

ROMAN KUBIAK

1. Wczoraj był ksiądz w sutannie i nie widział. Trzy razy obszedł drzewo dookoła i nic. — Na gałęzi jest głowa Chrystusa w ciernistej koronie — pokazała Maćkowiakowa. — Sto głów przytaknęło zgodnie. — Tu, w liściach jest Matka Niepokalana strojna w złote szaty. — Sto głów przytaknęło zgodnie. — Ojciec Maksymilian i nasz papież. — Jezus ukrzyżowany na lipowej gałęzi. — I Święta Magdalena... Przytaknęło dwadzieścia już głów. A ksiądz w sutannie nie widział. On, pasterz, stał pośród stada widzących swych owieczek i nic. Nawet nie przyklepnął na jedno kolano, choć wszyscy padli na oba i żuli manną pacierz. — Nie nie widzę — szepnął pasterz. Wówczas stado zafalowało złowieszczo i ozwały się mrukiwe głosy: — Cóż to za ksiądz, co nie widzi. — Powinien widzieć. — Musi widzieć! I zobaczył. Dwadzieścia czekało wstrzymanych oddechów. Musiał zobaczyć. A stado rozpięzło się w bliskie i dalekie strony, głośząc nowinę, że na drzewie w Glupicach wydarzył się cud. 2. Niebieski autokar jest z Wrocławia. Przywiozł czterdziestu par zaspianych oczu w zmarszczonych oprawkach starych twardzi. Czterdziestu par najszerzej otwartych oczu. Te oczy jechały ciemną nocą, żeby o świcie być pod drzewem. Pod cudownym drzewem. Cudowne drzewo to jest nadzieja, że jeszcze nie koniec. Że jak wiotcze ciało, lumbago gnie do ziemi, a skleroza płacze język, to jeszcze nie koniec. Bo jest inny, sto razy lepszy i sto razy sprawiedliwszy. Tamten Świat. On daje znaki nadziei. Bywa, że na zwykłym drzewie. — Widzisz — mówi starszy pan do starszej swojej pani. — Widzę. W kręciastych chustach kleczy wycieczka z Sieradza. Czarne torby kurczowo przyciska do boków, jakby w obawie przed złodziejem, albo z trwogi przed tym, co nastąpi. Bo usta szepta: — Ukaz się Panie! Pan nie ukazuje się każdemu, kto Go o to prosi, więc ci, którzy widzą, z wyższością ogłaszają niegodnym: — To jest objawienie, nie zaś telewizor czy gazeta. Niegodnym jest suchy chłopina w obwisłej marynarce. Trzecia miła godzina odkąd kraży wokół drzewa do bólu wytrzeszczając zmęczone oczy. Na próżno. Żyłaste dionie uniżenie gnioła niedzielną czapkę, a odświeżone portki noszą ślady kłeczenia w piachu. I wszystko na nie. Węć godniejsi pokazują mu palcami co widzieć powinien, a potem jego pokazują palcami: — To on! Słowo „on” może znaczyć coś wielkiego, albo kompletne zero. Tłum rozstępuje się, a niegodny zostaje sam na zdeptanym polu. On jeden. — Dlaczego, dlaczego właśnie ja... — siebie pyta niegodny. Odpowiada mu głuche milczenie. 3. Na rowie leża pokotem gardzewiałe damki o szczerbatych kołach. Mają wysmelcowane siodełka przetrzeta gałganem, żeby nie upaść wyściowych spodni. Bo pod cudowne drzewo pedałuje się w wyściowych spodniach, tych samych co obsługują chryzmy, komunie, śluby i ostatnie drogi. Portki na dole spina się białą linianą żabką, by tańcząc nie wystrzępił ich paskudnie. Do tego musowo biała koszula i ciemna marynara. A tu upał straszny. Na upał dobra jest maciejówka. Jada chłop pod drzewo i czepkują. Jedzie młody traktor i też czepkują. Wszyscy czepkują, tylko dwóch się śmieje. A śmiać się nie wolno. Nawet z tego, że wiosna, kiedy drzewo nie było jeszcze święte, zapili pod nim tego. — Od Drużbie, gdzie kościelna wieża, ślimaczko drepca pielerzymki w krętonowych kłeczkach. Targają pękate torby na opuchniętych nogach. W torbach są pajdy chleba przełożone kaszanką i flaszki letniej herbaty na spiekoty. Drepca i rachujka emerytalny grosz: tyle na to tyle na tamto, na powrotną drogę i na ofiarę, jak świeć pokaza się na drzewie. — Ja tak Bożę kocham, że wszystko zobaczę — powiada mocno tęga pani i rachuje o ofiarne złocisz. — Za to, żeby nie brakowało chleba, za to, żeby odpędzić choroby — rozmaite, za kolorowy telewizor dla córki, za kołuch dla wnuka... Człapie babula pokrzywiona cynkowym wiadrem na wodę i nielekkim życiem. Człapie stary na sztywnej nodze podpartej kijem. Dzwigają bukiet polnego kwiecia, poświęcony obrazek i długą litanie do Panienki. — O jeszcze kawałek życia o trochę sił. Bo to jest drzewo starych ludzi. Młodemu jak powiesz, że gdzieś rośnie cudowne drzewo to daje nadzieję, to młody machnie ręką i pojecha do jutra. A stary nie może czekać. Wygarnie ostatni grosz i odnajdzie Glupice pod Bełchatowem. Tam jest święte drzewo. Z Drużbie każdy właściwą drogą wskaże. Od szosy na prawo i dalej już prosto. Wskaze wyrostek na płocie i kierowca liniowego autobusu. Miesiac ledwie upłynął, odkąd w parafii gruchnęła nowina, że drzewo ożyło świętymi postaciami, a już wiedza o tym pod Szczecinem, pod Częstochową, w Lublinie i mieście Łodzi. Wiedzą i chcą widzieć. 4. Lipę data ludziom Maćkowiakowa. W telewizorach akurat kopali piłkę. Piłka jest dla chłopów, a babom się cknę. Węć Maćkowiakowa też poszła kopać. Na swoje po-

le przy drodze wygrzebać z ziemi młode kartofle. Schyla się kobieta, do kosza pyrkę przetrzuca, aż naraz ludzki głos słyszy: — Niech będzie pochwalony. Węć odpowiada jak należy, głowę do góry unosi, ale żywego ducha nie widzi. Droga wolna po horyzont, w polach jak makiem zasiał. Przeciera kobieta oczy, bo im nie wierzby bardziej niż uszom, co głos słyszały. Pusto. A głos znajomy powiada: — Idź! Węć idzie Maćkowiakowa przez zagony, przez rów głęboki, aż pod starą lipę, w rzędzie równut kim między drugimi stojącą. Tu siła tajemna nogom rozkaz wydała, by dalej nie iść. Spogląda kobieta na drzewo rozłożyste. Lipa jak lipa. Zawsze przy drodze była. Raz tylko gałęzie jej przycinali, żeby ruchu na szosie nie utrudniała. Zerkła Maćkowiakowa w to miejsce, gdzie pięć ostrzem piły zraniony, a im dłużej zerkła, tym jaśniej widzi. Czoło, nos zadarty, brodę i szyję. Duże oczy... — Jezul — krzyczy kobiecina i co sił gna do wsi. W chałupach nawet niespecjalnie wypytują, co i jak, tylko baby za świecę chwytają i pod wskazane drzewo gonią. — Jest, jak żywy — pokazują wzajem i stroją gałąź sztuczną różą, co nieprędko widnieć. Do wieczora silami wspólnymi drzewo przyozdobiono. Obrazy święte na korze zawisły, wianki z kwiecia, a wokół drewnianych plotek stanął, żeby lud w szkole nie szedł. Po księdza proboszcza, bystro posłali, ten drzewo obejrzał dokładnie, coś pod nosem szepnął i wziął Maćkowiakową na stronę. Ksiądz proboszcz jest człowiek światowy, więc zanim coś rozpowie, wprzód zbadać musi. A Maćkowiakowa księdzu ufa bardziej niż sobie, przeto milczy jak zaklęta. — Obcemu nie powiem, żeby nie wiem co! I milczy Maćkowiakowa, choć ją pytają. Milczy cała rodzina. Syn krowy na łąkę wypędzając rezolutnie rzecze: — Matula wie wszystko. Siedzi Maćkowiakowa w oknie chałupy i na lipę bacz. Jak przyjeżdża nowa wycieczka, wtedy bierze kij sekaty i wycieczkę objaśnia, gdzie głowa Jezusa, gdzie Niepokalana, a gdzie sam Ojciec Święty. — Patrzcie ludzie — powiada. — Nasz Ojciec Święty żyje jeszcze, a już jest na drzewie. Cud prawdziwy. W dwie niedziele zarolił się pod glupickim drzewem, aż zatrzeszczał drewniany plotek. Łan żyta zdeptały ludzkie nogi, a ludzkie ręce oskubały truskawkowe pole. Lecz nikt żalu do ludzi nie ma. Bo nie samym chlebem żyje człowiek... W szesnym tygodniu znowu byli tu księża. Kapłanów bystry lud rozpoznał, chociaż żaden nie nosił sutanny. Staneli na ubożu i długo o czymś radzili, czego nie zdradziły ich chłodne oblicza. A chłop po swojemu radzą, żeby przy lipie wystawić kapliczkę, pole zaościć i msze święte codziennie odprawiać. Widać zasłużył na taką lipę. 5. Tutaj bieżnie granica. Granicą jest kręta szosa na Bełchatów. Szosa turla się aut, wszystkie gna, wszystko goni do kipiącego miasta, które wczoraj jeszcze pachniało kurzem, a dzisiaj pachnie dużą forsa. Ludzie mówią: za granicą jest lepiej. Węć trzeba to zobaczyć. Jada i wracają. Wracają i opowiadają, że jest lepiej. Jak z granicznej szosy zbiec na prawo, to jest gorzej. Czas od razu zwalnia obroty. Każdy jednostajnie krzyczy się wokół swoich małych spraw, żeby zarobić swoje małe pieniądze. Tu właśnie są Glupice. Jest jak było. Ten sam sklep na rogu, te same drożdżowe placki na osmołonych blachach. Młodzi mówią, że nudno i trzeba uciekać starych mówią, że całkiem nieźle i trzeba zostać. Węć młodzi uciekają, a starzy zostają. Daleko od szosy, daleko od ludzi. Za wsią szumi lipowa aleja. Liście szumią głośniejsz niż koła furmanek. Bo aleja nikt nie gna i nie goni jak graniczna szosa. Najważniejsza lipa w całej Polsce rośnie po lewej stronie za ostatnim domem Woli Glupickiej. A Wola czyni cuda.



Foto: autor

Działo się to w okropnych, ale na szczęście minionych czasach nagannego woluntaryzmu i rozbratu władzy ze społeczeństwem. Te straszliwe czasy, obfitujące w rozliczne błędy i wypaczenia, miały jednak swoje wyjątki. Takim wyjątkiem była pewna spora i bogata wieś otoczona wspaniałymi lasami, które szczęśliwie nie zamieniły się jeszcze w meblościanki. Zasobność oraz powszechnie błogosławiona rządność była wynikiem pokojowego współistnienia. Pokojowo otóż współistniały ze sobą strefy wpływów miejscowego proboszcza i sekretarza partii. Raz pasterz poganiał swe owieczki do pilniejszego czynienia dobrych uczynków na rzecz wiejskiej wspólnoty, to znowu sekretarz grzmiał na zebraniach w celu wzmocnienia aktywności miejscowych partyjnych. Tak to ręką w rękę wspierały się władza świecka z duchowną, dla wspólnego dobra. A dodać trzeba także, że

go chacie koczowały tabuny smarkaczy, naciągających starego na prezentację posiadanej broni. Wspomnienie wypadu, że choć zgodnie i przepięknie, emerytowany gajowy winien oddać zwierzchności broń palną, to jednak w tym wypadku pozostałoby staremu jego strzelbę. Raz dlatego, że wszystkim znana była Borsucaza nieszkodliwość, po wtóre zaś dlatego, że broń Borsuka była równie wiekowa jak on sam i w oczach władzy żadnego zła wyrządzić nie mogła. A była to sztuka niezwykła, rzadki już egzemplarz, w wielkiej cenie wśród kolekcjonerów. Nazywano ją „biks-flinta” lub częściej „kniejówką”. Miała strzelbę dwie lufy z damasceńskiej kute stali. Jedną lufą była na kule, drugą na śrut, z komorą staroświeckojsze odwodzoną kurkiem. Stary sam odlewał do swej flinty kule i — o czym wszyscy wiedzieli — parę razy do roku szedł kłusować. Ale nikt go za to nie ścigał, wiedzieli bowiem, że przestrzegał prawideł łowieckich, poluje na drobnicę i wielkiej szkody nie czyni. Przeba-

niczym jeleniu-matuzalemiu, o jego przyjaźni z Borsukiem i o leśnym demonie mającym swą siedzibę w bukowym mateczniku w środku puszczy. Zaglął naczelnik parol na Jelenia św. Huberta. Ustrzenie takiego zwierza niewątpliwie podniosłoby jego notowania we właściwych kołach, nie mówiąc już o atencji dam śpiących wyrażić swój podziw dla wspaniałego łowcy. Wprawdzie nie należał naczelnik do Koła Łowieckiego, ani też nie miał doświadczenia myśliwskiego, ale — jako się rzekło — miał za to płeć gdzie trzeba i niezmierzona ambicję. Toteż gwałcił sobie na honorowaną nietykalność Jelenia i Borsucy autorytet. Alifci, nowicusz w prawach kniei, potrzebował zasięgnąć języka o tajemniczym Jeleniu. Dobry gajowy zna sektory zwierzyny w swoim lesie, wie kiedy i gdzie można na nią trafić. Toteż rozpytywał rzadca gminy personel nadleśnictwa, jeździł po gajówkach. I nic. Natknął się na ścianę milczenia. Nikt nie zamierzał pozwolić na uczynienie

JOLANTA WRONKA

Jak demon lasu zemścił się na władzy

szczęśliwym zarządzeniem losu wsi darzyło się polityce kadrowej, toteż jej establishment, obok wspomnianego kapłana i sekretarza, obejmował też światłego aptekarza i szanowanego nauczyciela, wreszcie dobrego weterynarza i mądrego leśniczego. Jak widać bóg i partia sprzyjały, toteż plony były wyśmienite, czyny społeczne owocne w wodociąg, szkołę i nową plebanie a ludność żyła w poszanowaniu praw ludzkich i boskich. Miała też wieś — a jest to niezwykle ważne dla naszej dalszej opowieści — swą ciekawostkę. Jeśli można tak nazwać, sądziwego, na zasłużonej już emeryturze, gajowego Borsuka. Stary Borsuk wydukałszy córkę na lekarza w pobliskim mieście, a syna na nauczyciela w sąsiedniej wsi, dożywał swych lat otoczony, można rzec, niekłamana miłością miejscowego społeczeństwa. Szacunek ów brał się jeszcze z czasów jasniepaństwa. Wówczas to gajowy Borsuk pozwalał chłopstwu zbierać drewno w pańskim lesie, chronił przed okiem dworskiego ekonoma, wspomagał w biedzie jakimś piaskiem lub zającem i w ogóle ludzki był. Wstawił się też Borsuk hardością, za którą byle kniei brał bity od dworskich. Nawet jaśnie pan dzielił uznanowac musiał twarde kark Borsuka. Ale bo też nie było lepszego nad niego mistrza w prowadzeniu nagonki na pańskich polowaniach i nikt też jak on nie znał wszystkich ścieżek zwierzyny i innych tajemnic lasu. Wszyscy więc kochali starego, a on kochał las. Miłością wielką i mądrą. I las mu się odzwajmiał, bo jak nigdzie rosy młode szkółki, dbałość o czystość i zdrowie lasu przynosiła najlepsze drewno na wyrębach, a zwierzyna plewała się na niego, i nawet jakby kasała się do starego. Wyjawszy oczywiście, szanowane przez obie strony, to jest zwierzynę i gajowego, reguły gry, które wyznaczały okresy polowań.

czano to Borsukowi, rozumiejąc, że odebranie mu tego przywileju byłoby dla starego krzywdą, a i dlatego po trosze, że jeszcze nigdy nikomu nie udało się przylapać fachuwa na gorącym uczynku. Trzeba też uczciwie powiedzieć i o tym, że umiał stary przyrządzać niezwykłe nalewki na ziołach i owocach leśnych, nie mające sobie równych w najdalszej okolicy. Tymi to ambrozjami ugasał od czasu do czasu wiejską elitę, spijając sprawiedliwie i pospołu partię i kościół z oświatą na dokładkę.

Miał Borsuk jeszcze jedną cechę niezwykłą a napawającą niejakim lekkiem wsiową społeczeństwem. Mówiło się, że jest za pan brat z leśnym demonem, co od wieków pilnował puszczy. Demon ów przybrał postać wspaniałego jelenia, byka-wsteczniaka. Nazywano tak jelenie, które niezbadanym prawem natury nie traciły okresowo poroża, lecz rosło ono im nieprzerwanie. A z wiekiem zaczynało się przedziwnie wykręcać i rozwidlać, tworząc niezwykłą koronę. Zdarzało się to bardzo rzadko i tylko wielokrotnym okazem. A niedościgły jeleni, onże demon, uchodził latami wszystkim myśliwym, dożywając sądziwego, jak na jelenia wieku. Mówili ludzie, że przed laty próbował ustrzelić Borsuk rogacza, lecz chybił i od tej pory zawiązała się, można rzec, przyjaźń między gajowym a jeleniem. Czasem ponoć zdarzało się zimą, że dumny rogacz przychodził po karmę pod chatę Borsuka, ten zaś odpłacał strzeżeniem przyjaźni przed zakusami pojawiających się w lasach dewizowych polowaczy. Nawet nazywano byka Jeleniem Świętego Huberta, takie bowiem imię dostał na chrzcie Borsuk. Nikt też nie powążył się podnieść ręki, a raczej strzelby na dziażdżowego ulubieńca, już to z szacunku dla Borsuka, już to z obawy, by rozżłoszony demon szkody jakieś nie wyrządził.

I trwałaby ta idylla we wsi i harmonia z naturą, gdyby nie przyszły czasy reformatorskich, wicie, przemian. Nastąpiła nowa epoka szerokiego otwierania okien na świat, wdychania powietrza licencji, kredytów i manewrów gospodarczych. Od tego świeżego powietrza niejednemu zakręciło się w głowie. A z nowym, nastał w powiecie, zaraz potem zreformowanym w gminę, nowy naczelnik.

Naczelnik był młody, nadzwyczaj ambitny i z dużym pięknem w województwie. Pierwszy raz obdarzony władzą, szybko poczuł pod sobą siodło, a na trzewikach ostrogi. Czas przyszedł taki, że wprost nie honor było się przyznać w określonych kręgach, że nie ma lepszego człowieka porządnego domu, miłuchnej daczki na łonie przyrody, że nie posiadał był jeszcze wspaniałego sztucera i obcy mu jest dreszczyk prawdziwie meskiej rozrywki — polowania. Na grubego zwierza najlepiej, skoro jednak nie można zapłować na nosorożce czy lwy zgola, niech będą choćby niedźwiedzie, żubry i rysie. Tak tedy poczuł w sobie żytko wiekłą młody naczelnik, zapoatrzył się w doskonały sztucer i żył myślą o najbliższej okazji do uczynienia zeń pożytku. Rzekło też postać opowieści krążące po okolicy o tajem-

krzywdy zwierzęciu, a tym samym staremu Borsukowi. Uznał to młody ambicjusz za zniewagę wyrządzoną władzy ludowej. Posypały się kary i nagany, z wpisem do akt nierządności. Nastąpiły cieciga po premlach i po kadrach. Nie pomogło. Nadal naczelnik nie wiedział, gdzie szukać jelenia, a oburzona zamierzonym świętokradztwem ludność dawała odpór fałszywym mniemaniom o chłopskiej pazerności na żywy grosz i protekcję u władzy.

Wziął tedy na ambit młody rzadca gminy, począł nekąc Borsuka. Bruździł mu wytrwale, nasyłał kontrole pod zarzutem uprawiania kłusownictwa, ścigał pozwami za bezprawne posładanie broni palnej, zabraniał emerytowi wstępu do lasu. A widząc, że Borsuk cieszy się sympatią wsiowej elity, zawładł się naczelnik i na nią. Spadły na wieś ciężkie restrykcje w postaci obniżonych przydziałów nawozów, maszyn, a nawet posuwał się mściwy władca do obcinania dostaw alkoholi i kaszanki do geosowskiego sklepu. Coraz to pojawiali się faceli z całkiem innej wsi, próbujący przepukstwem, groźbą i prośbą przymusić do zeznań zapiekłe chłopstwo. Skończyły się dobre czasy. Rządność wsi poszła w odstawkę, samorządność umarła w zalewie odgórnych zaleceń, dyktaw i przymusów. Próbował po prawidła pacyfikować nasyłane kontrole na zmianę wiejski sekretarz Misiak z księdem proboszczem. Ugaszali jak mogli, wtykali na drogę już to pięto pachnącej kiełbasy, już to pakowali do urzędowych bagażników pół świniaka, spili wladzę zwierzchnią. Gdzie tam. Z tego wszystkiego wiejski przywódca partyjnych zarobił naganę od wyższej instancji za brak owocnej współpracy oraz niedopuszczalne staczenie się na wrocie pozycje ideowe i holdowanie opium dla ludu. Złe było.

Wreszcie naczelnik zaatakował frontalnie. Postanowił wziąć na sprytki samego Borsuka. Przedem posłał forpoczę dla odpowiedniego postrzażenia o bywateln. Zajeżdżał przed Borsucą chatę, z obrzydzeniem opędził się od stada rozmaitych zwierzyny, co mu wyległa na powitanie i zasiadł za stołem. Borsuk, co prowadził polowania, bywało, dla książęcych głów, wiedział jak się znaleźć. Swą najsłynniejszą nalewkę wyciągnął z piwniczki, ku temu boczkowi pięknie uwędzonego, ogorków — i czekał.

Zaczął naczelnik z flanki, od bechtania myśliwskiej przóżności starego, kołował po historii, zbuchał na sławne polowania, krzątał i zwodził. A stary milczał uparcie. Potakiwał grzecznie, władzy się nie sprzeciwiał, ale pary nie puścił. Zaczął tedy naczelnik od drugiego końca. Ze on niedoświadczony myśliwy, a od Borsuka tyle się może nauczyć, kazał sobie pokazać nielegalnie posiadaną biks-flintę, dowiadywał się jak podchodzić jakiego zwierza, gdzie go szukać. Mówił, że stary z rozpędu wyjawia leśną dziedzinę tajemniczego jelenia. Borsuk nie można powiedzieć odpowiedział o lesie, o myśliwskich zwyczajach, ale o jeleniu milczał. Rzekł tylko, tak ot, dla przestrogi, żeby się nie zapuszczać w bukowin matecznik, bo tam demon leśny zamieszkuje. Jeśli, co nie daj panie, zapyta

człowiek strzelał po bukowym lesie, na zemstę strasznego ducha się naraził, który tak śmiałka kopnie w dupę, że na zawsze zapomni.

Solennie upojony nalewką naczelnik, niczego się nie dowiedziawszy, odjechał.

Nie darmo jednak naczelnik został naczelnikiem. Lebski był chłopak. Na trzeźwo wspomniawszy biadę przypomniał, że choć nie pytany, szczególnie jako ostrzeżenie! Borsuk przed polowaniem w bukowym lesie. Skombinował tedy, że widać miał coś w tym stary spryciarz. Pewnie właśnie tam należy szukać niedościgniętego rogacza. Ujrzał oczyma duszy wspaniałe poroże zdobiące jego gabinet, poczuł słodczy pochwał i podziwu wszystkich konkurentów. Postanowił tedy cichcem, milczkiem zapołować w bukowym lesie. Nic nikomu nie mówiąc, przystąpił do wypraw, pod pretekstem pilnej kursokonferencji w województwie.

A trzeba tu koniecznie wiedzieć, że doświadczony myśliwy potrafi po huku rozpoznąć strzelającą broń. Każda bowiem ma swój własny, niepowtarzalny odgłos. Znajac w okolicy wszystkich posiadaczy broni palnej, dobry myśliwy pozna, kto w lesie poluje. Nasza zaś okolica, puszczańska, myśliwska, od wieków wezwyczała miejscowych do spraw leśnych. Potrafil ludzie odgadnąć, że akurat odezwali się w lasach znająca dubeltówka gajowego, a zaraz potem dał się słyszeć obryzek Łaśka, niepoprawnego kłusownika. A jeśli nikt nie znał strzelającej akurat broni — znaczy, poluje dewizowa delegacja, spośród której dale się słyszeć huk sztucera wojewody.

Ktoregoś bardzo wczesnego ranka obudzili ludzi we wsi strzały dochodzące z lasu. Rozpoznano najpierw flintę starego Borsuka, a w chwili potem dał się słyszeć wspaniały sztucer naczelnika z gminy. Z grubszą nawet ustalono, że strzelano w bukowym mateczniku. Strach wielki poszedł po ludziach. Pod domem soltyśa zbiegłowskiego wiejskich roztrząsało zdarzenie. Przeciucia paskudne nekaly, to wszyscy widzieli o Borsukowym ostrzeżeniu przed zemstą leśnego demona, zaślepnia naczelnikowa zaciekłość na Jelenia świętego Huberta niosła się już legendą, daleko poza granice Bałi się ludźle, czy aby Borsukowi nie odbiło i z zemsty za nastawienie na jego ukochanego jelenia, nie zasądził się przypadkiem na upartego naczelnika. Starzy ludzie czasem stają się fanatykami jakiejś swojej pasji, bronią jej, jak kiedyś celnicy sanacyjni chłop bronili swej miedzy przed podorywką sąsiada.

Groza rosła, bo już słońce wyszło, a z lasu nikogo nie widać. W końcu wziął sprawę w swe ręce sekretarz wiejskiej instancji. Współ z proboszczem i lekarzem, zmontowali ekspedycję zwładowo-ratunkową. Cholera wie, czy nie trzeba będzie targać z lasu jakichś poszatkowanych zwłok. Hańba pójść na wieś, ciągnąć po sądach będą, a władza z województwa do reszty zakreśli kurki z pieniędzmi. Na odczynnym przykazali soltyśowi, by poki co siedział cicho, nikogo nie zawiadamiać. Zawsze się zdąży skłócić jakąś legendę, nim zwał się na wieś śledztwo i podejrzenia.

Nim jednak do lasu, posła najprzód ekspedycję do chaty starego Borsuka. Ku zdumieniu przybyłych zastali go. Najspokojniej w świecie śpiącego we własnym łóżku. Obudzony, marmotał coś niezrozumiale, zaprzeczał jakoby zastrzelił naczelnika i w ogóle robił z siebie niedorozwiniętego idiotę. Sytuacja była złożona i usprawiedliwiała radykalne posunięcia, toteż sekretarz Misiak wywlokł starego bez litości z pleśszy, kazał się odzwać, zabrać flintę i prowadzić najkrótszą drogą do bukowego lasu.

W pół godziny doszli do leśnej przeczki, a tam ujrżeli rzecz straszną. Skrajem ściany drzew czołgała się na nim jakaś okrwawiona i wniebogłosy jęcząca postać. Ruszyli na ratunek, rozpoznawszy w krwawej ofierze swego gminnego przywódcę. Strach wielki nakazał milczenie, bo i co tu mówić, kiedy targają na noszach uwalaną w ziemi i posocze władze, a doktor z grubszą tylko opatrzył i popędził do wsi.

W ośrodku zdrowia dopiero, domyty naczelnik ujawnił liczne, ale na szczęście drobne skaleczenia ręki, boku i nogi. oznaki szkód poniesionych na polu bitwy. Najdziwniejsze było jednak to, że na — excusez moi — prawym pośladku naczelnikowym widniał potężny krwiał,

rozległy jak dwie dłonie kowala, sączący krew i napuchnięty oraz setki drobniutkich ran pełnych szkła. Doktor z weterynarzem do spółki ze dwie godziny pracowicie wydobywali z niewymawialnych części szklane pociski narażając się na bluźnierstwa ofiary.

Co dziwniejsze jeszcze, umiarkowaną raną silnie wioniała znajomym jakby zapachem, w którym nieomylnie rozpoznało żubrówkę.

Wiedź o rodzaju i umiejscowieniu ran ofiary polowania natychmiast rozeszła się po wsi. I choć zaprawiona ulga, że jednak nie będzie państwowego pogrzebu, dreszczem nieco szła po plecach. Wyglądało na to, że sprawdziła się kłątwa Borsuka. Demon lasu zemścił się na świętokradcy, kopnął go — jak zapowiedziano — w dupę.

Przywieziony do życia, zszokowany młody naczelnik dopiero opowiedział co zdarzyło się w bukowym lesie. Wymacał wprzód, że niezwykle jeli właśnie w bukowym mateczniku ma swą siedzibę i przed świtem wychodził do wodopoju u małego strumyczka, przy zwałonym starym pnlu. Zasadził się tedy na rogacza na wygodnym rozwidleniu gałęzi wielkiego buka. Wkoło stał gęsty potężnych, srebrnoszarych pni. Nadrana mgła snuła się nisko między drzewami i — jak to nad ranem — ział robił się straszny.

Czatujący naczelnik przewidując zaopatrzony w pierścionek z żubrowką i pociągając z niej co trochę dla rozgrzewki. O szarawce, wspaniale poroże ukazało się między pniami. Majestatyczny król lasu wyszedł wprost pod łufę sztucera. Naczelnik przycisnął kolbę i już naciskał spust, gdy wtem rozległ się niespodziewany huk. Spłoszony jelen natychmiast poderwał się do ucieczki. Mimo to naczelnik strzelił w nadzieję, że jednak trafi. Nie trafił. Za to po lesie rozległo się przerażające, tajemnicze klekotanie jakby, jakby grzechot. Trwało to kilka ledwie sekund, ale zjechało włosy naczelnikowi. Sam, w głębi nieznanej lasu... W tym momencie coś potwornego, jakaś olbrzymia siła strasliwie kopnęła strzelca w prawy pośladek. Zaskoczenie, gigantyczne przerażenie i potworny ból zrzuciły go z gałęzi na ziemię. Wyjąc z przerażenia począł się czołgać ogłuszony myśliwy w stronę leśnej przeczki, włokąc okrutną swą ranę. Umajono drobno ślepanym szkłem i zdezynfekowaną żubrówką. Sama ofiara do tej pory nie rozumie co się właściwie stało, skąd ta strasliwa rana i w ogóle wolałby naczelnik co rychlej zapomnieć o wstydlwym dramacie, o całym tym idiotycznym jeleniu i niepojętym Borsuku.

Tajemnica okryła leśną zagadkę. Zachodzą w głowę, przepytano Borsuka, nawet łagodny pasterz dopuścił się dywersji na gajowym, próbując przy pomocy nalewki wyciągnąć ze starego spowiedź o tym, co zdarzyło się w bukowym lesie. Na próżno. Stary milczał jak głaz. W końcu ludzie przestali o tym mówić, po trosze zapomnieli, a po trosze obawiali się nadmierne dusić Borsuka. Nie daj boże zeżli się stary i jeszcze napuścił na włoscian tego swojego leśnego diabła. Widać z nim mocno skumany, skoro poradził nawet gminnej instancji.

Jedno dobre co z tego wynikało, to to, że młody zadufany w swoje mocne plecy naczelnik, karierę sobie zwicłnął. Odestał go pono na drugi kraj, niec Polski, jako że śmiech szedł za nim po całym województwie.

A we wsi powrócił ład, porządek i z dawna ustalony rytm życia. Znowu sprawiedliwie i ku pożytkowi ludności sprawowali swe rzady sekretarz Misiak pospołu z księdzem proboszczem, zgodnie pilnując, by się chwiejny duch człowieczy wznosił ku dobremu. Jak dawniej pasterz gromił parafian z ambony, że jeśli nie pociągają na czas partyjnych składek, to on nie pozwoli dzieciom najbardziej zalegających, sypać kłecia w procesji na Boże Ciało. Znowu sekretarz nakładał zadania na partyjnych, żeby wspomogli kapłana w zbożnym dziele odnowienia zabytkowego kościoła.

Na przestrożę zaślepi ludzom została historia naczelnika, co się sprzeciwił świętym prawom matki natury, rękę podniósł świętokradczą na nieetykalne prawa lasu i za karę go diabeł kopnął w dupę i karierę zwicłnął.

PS. Wyjaśnienie zagadki za tydzień.

Gracze

WITOLD WERNER

Małe miasteczko na Wybrzeżu. Ot, przysiółkowe dwie uliczki na krzyż, kościół, urząd gminy, posterunek — no i oczywiście knajpa. Jest tu także pijalnia piwa; jakąż dziś nosi nazwę — nikt nie pamięta. Natomiast wszyscy wiedzą, że piwa można napić się u Kota.

Pijalnia u Kota. Typowa mordownia. Miejsce, które z daleka omijają panienki z dobrych domów. Miejsce, o którym milicja woli nie wiedzieć. Azyl nierobów i niebieskich ptaków, wodopój dla wszystkich spragnionych taniego, a w miarę mocnego trunku Pijalnia u Kota.

Gdyby nie reportaży — za nic w świecie nie wszedłbym tutaj. Chyba że z silną obławą. Wewnątrz charakterystyczny zapach — a raczej fetor — piwiarńi gorzej niż podłej kategorii: coś jakby odór moczu i starego, skwaśnialego piwa. Wewnątrz mężczyźni przeważnie już po kilku (kilkunastu?) piwach. Różni. Starczy zmarszczki — obok młodzieńczego trądziku, ci, których jeszcze stać na wódkę — obok tych, którzy muszą zadowolić się denaturatem, wodą brzoową czy kryształkiem. Albo kuflem piwa, za który płać odliczając pięćdziesięciogroszówki. Niby mu-chy obsiedli stoliki, ławki, parapet. Sączą powoli swe „duże jasne”, kłócąc się głośno, klnąc i plując na podłogę.

Czuć się tu obco. Tym bardziej, że przykuwam sobą wzrok prawie wszystkich bywalców. Nawet w mocno już podniszczonych dzinsowych spodniach i takiej samej kurcie wyglądam zbyt elegancko. Kupuję kufel obrzydliwego piwa — czy raczej jego wodny roztwór — i wychodzę na taras.

Tu też towarzysztwo nie jest lepsze. Ale przede wszystkim są ci, dla których tu przyszedłem: karciarze. Siedzą przy osobnym stole obficie zastawionym kufkami i grają w pokera. Przysiadam się obok i już po chwili czuję na sobie ich spojrzenia. Jeszcze chwila, jeszcze moment i muszę mnie zacząć; wyglądam przecież na „jelenia”, którego można „oskubać”. I nie myliłem się.

— Ty, co jest starsze, karetka czy fuł?

— Nie wiem.

— Ty, to pomyśl. No, co jest starsze, fuł czy karetka? Bo my z kolegą chcemy zagrać o pół litra i nie możemy się dogadać To co?

— Karetka.

— Dobra. Masz rację. Ty się musisz znać na kartach! Rozdasz nam karty?

— Mogę.

Tasuję mocno już wytłuszczoną talie i rozdaję karty na dwie kupki.

— Ty, ty, ty, na ile rozdajesz! A dla siebie?

— Nie gram — próbuję się bronić.

— No, przecież nie gramy na pieniądze! Rozdaj i dla siebie.

Tasuję więc jeszcze raz i daję karty do przełożenia. Przez moment talia jest w ręku jednego z nich. Rozdaję.

— Dla mnie trzy.

— Dla mnie też.

Spoglądam na swoje karty: trzy króle, dziewiątka, as. Nieźle. Widocznie sekunda na przełożenie kart w zupełności im wystarczy. Dobieram dwie. Król, as. Mam więc karetę.

— Sprawdzam. U mnie para dziewiątek.

— Ja mam parę waletów.

— Karetka.

— Bracie, ale ty masz szczęście do kart! To po ile stawka?

Być może gra byłaby pasjonująca, ale chyba nie dla mnie: nie bardzo miałem od kogo — w razie czego — pożyczyc na bilet powrotny. Zdecydowałem się więc na istic pokerowe zagrane: odkryłem swe karty mówiąc im kim jestem i co mnie do nich sprowadza.

— Ty, to ma iść do gazety? To ja się wypisuję.

— Redaktor, bez mnie te numery. Idę. Cześć.

Próbuję ich przekonać, że bez nazwisk, bez imion, same fakty — bez skutku. Nie i nie, na szczęście jeden z nich — ostatni, który mi został, albo bardziej pijany, albo bardziej żądny reklamy, albo po prostu jeszcze niedopity zlitował się nade mną.

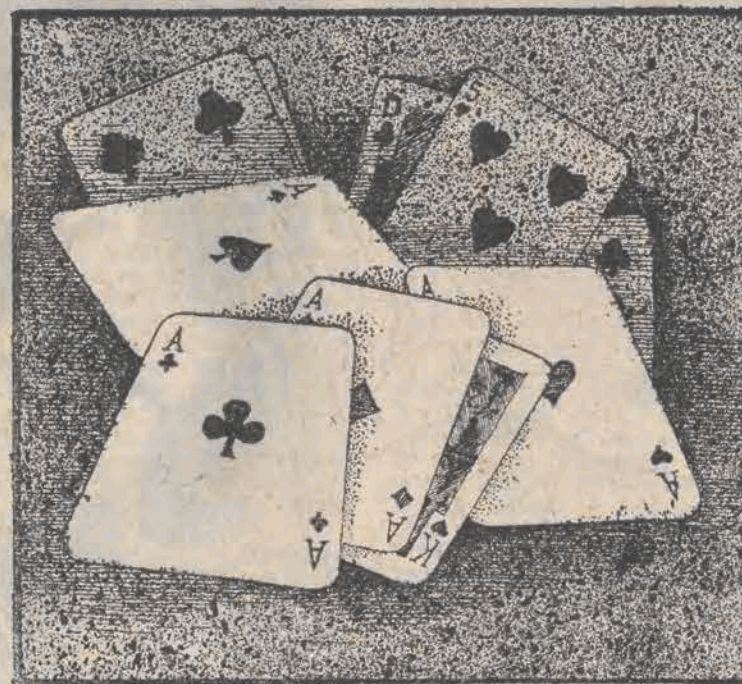
— A postawisz?

Nie miałem wyjścia; wszak była to moja ostatnia deska ratunku. Usiedliśmy więc na ławce i rozpoczął swą opowieść.

— Urodziłem się 15 lutego 1882 roku. Ojciec pił. I to dobrze dawał. Był maszynistą ekspresu. Do nauki nie miałem jakiegoś takiego pociągu. Od siódmego roku życia trenowałem zapasy. W karty też grałem od takiego (i tu wymowny gest ręką). Wczoraj też grałem. Przegrałem zegarek, złotą bransoletę i skórę. Przypadek. Pijany byłem. Sprawdziłem, kurwa, na dwie pary waletowskie. Ponad dwadzieścia tysięcy! Dobra, o tym później. Podstawówkę jakoś skończyłem. Poszedłem do zawodówki. I tego, kanapki wtedy zacząłem zabierać. Masz papierosa?

— Nie mam.

— Szkoda. Zaczęłem kraść kanapki. I później wpadłem w wir. Już całkowity wir pokerowy. Jaki to był wir? To był dobry wir tylko aby nie pić... Bo człowiek co wygrał, to...



Rys. Janusz Szymański-Glane

— Gdzie tam przepił! W życiu by tego nie przepił. Wiesz ile wygrałem pierwszy raz w życiu w kupki? Osiemnaście tysięcy. A miałem wtedy szesnaście lat. Wódka kosztowała wtedy w „Zefirze” sto sześćdziesiąt parę złotych. Żytnia. Poszedłem do „Zefira”. Dwanaście osób zaprosiłem. Bilety po sto pięćdziesiąt złotych. Wódka po sto sześćdziesiąt. Wódki nasiawiałem, wszystkiego... Powinno mi zostać jeszcze z sześć, siedem tysięcy. I budzę się: patrzę po kieszeniach — pusto. Patrzę do tej, do tej — i jest! Dwadzieście złotych! Wszystko ukradki, zostawił mi tylko dwadzieście złotych! I wiesz jaki pierwszy krok zrobiłem? Kupiłem kastet. Za ostatnie dwadzieście złotych...

— Potrzebny był ci do kart?

— Do kart? Nie, tak sobie kupiłem. Ale skończę ci z tymi kanapkami. Złapał mnie i wyrzucił ze szkoły. Płakałem. Płakałem, bo chciałem chodzić do szkoły. Wtedy grałem już na okrągło.

— O duże sumy?

— O różne. W tym czasie, jak wódka skoczyła na sto sześćdziesiąt złotych, to w ciągu dwóch dni wygrałem ponad sto tysięcy złotych! Popatrz, pokażę ci numer...

I wyciągnął z kieszeni talie kart. Nie była to talia, jaką najczęściej widzi się w rękach namiętnych graczy: brudna, wynięta i wytłuszczona; były to oryginalne „Piatniki”! Rozłożył je w wachlarzyk i mówił:

— Wybierz sobie dwie.

— Włóż je do talii i potasuj. A teraz rozłoż, ale tak, żebyś nie widział figur. Te twoje asy są tutaj. O, tu masz pikowego, a tu treflowego. Zgadza się?

Zgadzało. I choć długo oglądałem owe asy ze wszystkich stron, nie znalazłem nic; żadnego śladu, żadnego najmniejszego znaczka pozwalającego na bezbłędną identyfikację!

— Po czym poznałeś?

— Za dużo cheesz wiedzieć. Ja nad tym pracowałem ponad pół roku. Ponad pół roku — noc w noc. A ty byś chciał tak od razu? Albo taki numer... Tylko patrz uważnie. Pokażę ci to w zwolnionym tempie...

Wziął karty do ręki i zaczął je powoli tasować. W pewnej chwili na ułamek sekundy odchylił kartę, potem drugą, trzecią. To samo zrobił przy przekładaniu. Trwało to dosłownie ułamek sekundy; jeśli to było zwolnione tempo — to co dopiero musi być w grze!

— I tak jest, grałem na okrągło. Po całej Polsce jeździłem.

Grałem w Toruniu, Elku, Pleszu, Łodzi i Bóg wie gdzie jeszcze. I później co się stało... Nie wiedzieli jak mnie uznać. Za dobrego ubranego, za dużego, za bardzo baluje — a nie pracuje. No i dostałem trzy miesiące. Sprowadzili jakiegoś faceta, którego widziałem pierwszy raz na oczy i on powiedział, że mu ukradłem zegarek i osiemset złotych! Ja miałem mu ukradł zegarek! Ja zegarki to wyrzucałem, bo nie miałem z nimi co robić! No i posadził mnie na trzy miesiące. Jak wyszedłem, to znowu pojechałem w Polskę. Pamiętam, grałem kiedyś w Toruniu ze Szwedem. Wszystko postawił: chuchy, forsy, całą samą pornografię. Nawet samochód chciał postawić. Ale nie zgodziłem się.

— Przegrał?

— A jakim prawem miał wygrać? Przegrał! Dalem mu tylko forsy na zapłatę hotelu. Potem zapudłował mnie znowu na dwa lata. Za demokę. Siedziałem w Gorzowie. Ale to już inna sprawa.

— Czy pracowałeś kiedykolwiek?

— A po co? Karty dają lepszy zarobek. Kiedyś, to jeździłem nocami. Teraz już nie jeździę — niech se jeżdżą te młode karaluchy. Więc tak, wsiadamy se w pociąg i jedziemy. Do Szczecinka, do Pili, do Kołobrzewa. I tak: mówię: nudno. No, nudno. To może zagramy, to czas szybciej upłynię? No to gramy. No i wygrywaliśmy. Z rolnikami, z inżynierami, z żołnierzami.

— Nie szkoda było żołnierzy na przepustce? Przecież oni mają bardzo mało pieniędzy! Może przez was nie mieli na powrót do jednostki?

— To po co siadali do kart? Dług karciany — to dług honorarny! Zastaw sie, zapamiętaj — ale pieniądze trzeba wypłacić! Bo ile nie — to w mordę! Ja sam też nieraz dostawałem — ale nie dlatego, że nie oddałem pieniędzy, tylko dlatego, że wygrałem. Ale dostawałem tylko wtedy, gdy byłem naprany. Jak wytrzeźwiałem — to zaczynałem ich szukać. I frunali jak wiatrak!

Albo po pociągach, to ja już nie gram. Niech se te karaluchy jeżdżą. Ktoś ich ponauczał — jak byłem w Gorzowie — jednej, dwóch sztuczek, i myślał, że wszystkie rozumy pojadą! Wszyscy psują! Bo takich brylantów — jak my — to jest (zaczyna wyliczać na palcach) — siedmiu, może ośmiu. A reszta to karaluchy.

— Czy w innych miastach kraju też jest tylu graczy?

— Tak, jest jeszcze parę takich miast. Legnica... w Szczecinku jest paru... Grałem kiedyś z ich heroldem. Przegrałem z nim, faktycznie. Butyma mnie wziął! Trzy damy miał z ręki, ja mam parę asów! Ładuję... I później tak... Zostały mi trzy damy, a mnie para asów. I ja wchodzę za pół puli. A leżało tam może z dziesięć tysięcy. To ja wchodzę za cztery i pół. On mnie tylko sprawdza. Wygrał. Nie nie miałem w karmianie, to powiedziałem, że idę wypłacić z kaszeczki. Nie tam nie miałem, ale poszedłem pożyczyc. Pożyczyłem od malarzy — chłopaki ostatnie pieniądze mi pożyczili. I też przegrałem. Ale później i tak sobie odbyłem! Od jego syna. Odegrałem wszystko!

Najlepszy był numer w Rucianem. Byłem w takim układzie, że facet postawił wszystko: całą gospodarkę. Przegrał — bo nie mogło być inaczej. Dostał sto tysięcy na to, żeby mógł wukwud nawozy i jakoś żyć. A on zostawił oświadczenie, że w pół roku spłaci gospodarkę. Było tego coś ze czterech balonów. I oddał!

Teraz też był numer. Grałem z facetem w tysiąca, o piwo. Cynkując pod lewym okiem jak pięć groszy. Przegrał. Postawił piwo, ale mówi: „To nie gra, zagramy w pokera”. No to dobra, mówię, no to siadaj — to pogramy. Przegrał może ze sto pięćdziesiąt złotych, dwa kufle z zastawem i zegarek — zepsuty w dodatku. I słuchaj, jaki numer! Wali mi do brata. Z bratem przychodzą i chcą ze mną grać. Nie on ma grać, tylko jego brat. Ten jego brat jak mnie zobaczył — to mówi: „ja z tobą nie gram!”. No to nie! A później walą na milicję! A widział u mnie pieniądze — moje pieniądze — i mówi, że to ja mu je ukradłem! Ale udało mi się wtedy wywinąć... Tyle że musiałem grać cztery osiem...

Dobra. Starczy tego. Gaś magnetofon. Idę na wódkę.

Nic więcej nie udało mi się już od niego wyciągnąć. Ale nim wyjechałem z miasta, opowiedziano mi jeszcze jeden ich „numer”. Kto wie, czy nie największy. Otóż w ubiegłym roku w miasteczku zatrzymał się na kilka dni cyrk. Pewnego dnia, w Rejonowym Urzędzie Spraw Wewnętrznych zjawił się iluzjonista z tego właśnie cyrku ze skargą, że został oszukany przy grze w karty. Kwota nie była co prawda astronomiczna — ot, dwadzieścia tysięcy złotych. Ale najgorsze dla niego było coś zupełnie innego: on — iluzjonista, pokazujący karciane sztuczki — został ograny! Na oczach milicjantów potrafił z talii „wytasować” dowolny pokerowy układ: fula, karetę, pokera — nie był więc chyba taki zły. A przegrał. Cóż, byli widocznie lepsi od niego...

Mając lat piętnaście Casanova ujrzał swoje miasto rodzinne Wenecję jak gdyby po raz pierwszy. Tyśnięta reпублиka szlachecka żyła w złudnym blasku chylącej się do upadku wielkości. Doza przywdziewał jeszcze czapkę książęcą i świecił uroczyste gody z morzem, lecz morza posłuszne były już innym władcom, a handel zamierał.

Na rogu każdej ulicy stał kościół, lecz wierni wstępować tam wracając z domów gry lub w drodze na załoty. Ponad czterysta mostów na stu pięćdziesięciu kanałach prowadziło do mostów i kanałów. Miasto położone na stu małych wyspach, pośrodku laguny, oddalone cztery kilometry od stałego lądu, było pływającą sceną Europy. Zamaskowani szulerzy spotykali się tu z prawdziwymi królami. Malarze i majtkowie paradowali w blasku sławy. Na wszystkich ulicach i we wszystkich teatrach grano zaimportowaną komedię. Nawet w łóżach teatralnych uprawiano hazard, podobnie jak w salonach, kasynach i kawiarniach. Zdawało się, że cały świat jest zakochany. (...)

W katedrze św. Marka patriarcha wygłaszał wznieście oracje o wyrzeczeniu, na plażach tańczył lud. W łóżach teatralnych duchowni zalecali się do małżonek arystokratów i córek pospółstwa. Pantaloni płatali figle, arlekin chichotał. Carlo Gozzi wystawiał swoje bajki, Carlo Goldoni dwie setki swoich komedii. Gondolierzy śpiewali canzoni Tassa i Ariosta. Rozpusta chodząca nago i w masce. Jan Baptysta Tiepolo uwieczniał ją w obrazach. Baltazar Galuppi wyszywał w siedemdziesięciu operach komicznych. Zmysłowość rozbrzmiewała poprzez otwarte portale świątyni w tęsknych melodjach chorów kościelnych, a dniem i nocą w barkarach, odbijających się echem na wodzie. Haendel i Gluck pisali w Wenecji opery. Mozart przyjeżdżał na czas karnawału.

Niebiańskimi głosami śpiewaków entuzjastowali się Goethe i Rousseau; jego Giulietta była może tą samą, z którą Casanova wymieniał koszułę, spodnie i pocałunki. Monsieur de Brosses marzył o ziemskiej miłości weneckich zakonnic. Canaletto, Guardi i Longhi malowali pałace i obyczaje Weneckiej rozpiętej, się barwy wieczoru i ową felicitissima notte (najszczęśliwszą noc) neoutonowego miasta.

Jakub przybył z Padwy, uczepiony spódnicy swojej babki. Pragnął gorąco zostać lekarzem, lecz studiował prawo, gdyż matka i opiekun wybrali dla niego zawód adwokata. Babka jednak chciała go widzieć na ambonie. Zatem proboszcz Tosello zatrudnił Jakuba w swym małym kościółku San Samuele, gdzie go niegdyś chrzcili. Patriarcha Wenecji, były marynarz, wystrzygił mu tonsurę. W jedenaście miesięcy później Casanova otrzymał cztery niższe święcenia. I tak został księdzem i jego domem na najniższym szczeblu długiej hierarchii kościelnej. (...)

MIŁOŚĆ DO PIĘKNEJ ANIELI

Mając na oku tę nową karierę, codziennie odwiedzał proboszcza i zakochał się w jego siostrzenicy, pięknej Anieli. Lecz aż nazbyt rozsądna dziewczyna nie okazywała mu żadnych względów; gotowa była wyjść za niego za mąż tylko pod warunkiem, że zrezygnuje ze stanu duchownego. Pragnął jednak zwyciężyć bez takich ofiar i na swoje nieszczęście, jak mówi, pogrążył się w miłość coraz bardziej, gdyż przez Anielę wplątał się w dwie następne miłości, a następnie w jeszcze inne; wreszcie musiał rzeczywiście zrezygnować ze stanu duchownego i stał się „ofiara kobiet”. (...)

Zmysłowe, żarliwe zapewnienia Jakuba rozbiły się o uczciwość Anieli, wzruszyły natomiast serca jej pięknych przyjaciółek, szesnastoletniej Nanette i jej piętnastoletniej siostry Martiny. Były to siostry, przynależące córki hrabiego Savorgnan, w którego domu zakwaterował się Casanova; mieszkali u swej ciotki Orlo.

Proboszcz Tosello, mając na uwadze dobre imię swej siostrzenicy, zwrócił się do Jakuba z prośbą, aby zaprzestał codziennych odwiedzin. Casanova podsunął karteczkę przyjaciółce Anieli, Nanette, która w dwa dni później przyniosła mu odpowiedź ukochanej. (...)

Nanette oświadczyła wielbiącielowi Anieli, że nie ma takiej rzeczy na świecie, której nie zrobiłaby dla przyjaciółki. Wkrótce dowiodła tego.

W dni świąteczne Aniela jadła przy stole ciotki Orlo i spała w łóżku siostr. Za poradą Nanette, Jakub uprosił swego dobroczyńcę Malipiera, aby wpisał biedną, szlachetnie urodzoną, szesnastoletnią ciotkę Orlo na listę zapomogową dla wdów-arystokratek. Zresztą dawny jej wielbiiciel, prokurator Rosa, czekał tylko na śmierć żony, by poślubić panią Orlo.

Gdy Jakub wręczał ciotce dokument o przychylnym załatwieniu sprawy, Nanette podsunęła mu niepostrzeżenie karteczkę z następującą instrukcją: miał pożegnać się przed kolanami ciotki Orlo.

HERMANN KESTEN

Przygody miłosne Casanovy

Bożyszcze kobiet, uwodziciel i awanturnik, czyli Giovanni Casanova, miał 186 cm wzrostu, wyróżniał się atletyczną budową i mocno śniadą cerą. Był nie tyle piękny, co pewny siebie, wytrwały i żywoty.

cja i zamiast wyjść na ulicę, cicho wśliznął się na trzecie piętro do dziewcząt, ona mu poświęciła na schodach; gdy tylko pan Rosa uda się do domu, a ciotka pójdzie spać, przybiegną wszystkie trzy na górę i Jakub będzie mógł całą noc przegawędzić ze swoją Anielą.

NIEUDANA PRZYGODA

Nareszcie dziewczęta nadeszły. Aniela usiadła przy nim na kanapie. Pragnąc uzyskać pocałunek, przemawiał do niej przez dwie godziny, lecz daremnie. Odejsz nie mógł, gdyż ciotka zabrała klucz od bramy, a otwierała ją dopiero wychodząc na ranną mszę. Po północy zgłosiła ostatnia świeca. Zanim mógł sięgnąć po Anielę, umknęła. Posuwając się naprzód po omacku, udało mu się schwycić tylko Martynę czy też Nanette. Wyczerpany osunął się na kanapę, płakał z wściekłości, błagał, przeklinał i w końcu wyszedł, gdy ciotka otworzyła brame.

W południe zwierzył się senatorowi Malipiero ze swej nieudanej przygody miłosnej. Odpaleni kochankowie, siedemdziesięciosześcioletni i szesnastoletni, pocieszała się nawzajem odpowiednimi maksymami z Cyserona i Epikura.

Chcąc zapomnieć o Anieli, Casanova wyjechał do Padwy i tam — jak podaje — uzyskał doktorat obojga praw: z prawa cywilnego na podstawie rozprawy De testamentis (O spadkobranstwie), a z prawa kanonicznego opracowując osobliwą tezę: „Czy Hebrajczycy mają prawo budować nowe synagogi”.

Casanova nie wyjaśnia, czy opowiadał się za wolnością religijną, czy przeciw niej, ani dlaczego właśnie Żydom oka-

zywał tak wielkie zainteresowanie.

Z dokumentów uniwersyteckich w Padwie wynika niezbyt, że Casanova był istotnie od dwunastego roku życia zapisany na wydział prawa i mieszkał u księdza Gozziego. Jak większość faktów podawanych w Pamiętnikach, tak i jego studia prawnicze stawiane były przez wielu krytyków pod znakiem zapytania do czasu, kiedy pewien badacz Casanovy poparł je dokumentami. Zaginięcie świadectw egzaminacyjnych członków weneckiego zeznania prawników w Padwie z okresu 1742—1744 uniemożliwia podobny udokumentowany dowód jego doktoratu.

Gdy wrócił do Wenecji, Nanette wręczyła mu w mieszkaniu ciotki Orlo karteczkę od

ly do arystokracji. Casanova znalazł się na obowiązkach kawalera; wiedział, jak należy postępować, miał więc początkowo skrupuły, które w danej chwili sprawiły mu moralną satysfakcję.

Przypadek, który dziewczęta te rzucił w jego ramiona, nie powinien stać się przyczyną ich upadku. Jakub nie był tak próżny, aby przypuszczać, że Nanette i Martina, rozgrzane winem cypryjskim i pocałunkiem, kochają go. Będzie mógł wprowadzić w ciąg długi nocy skłonić niewinne panienki różnymi sztuczkami do daleko idących uprzejmości, lecz sama myśl o tym przerażała go. Chciał za wszelką cenę uszanować ich niewinność; miał to być dobrowolnie narzucony sobie nakaz. Wrzucił

W swolch pamiętnikach, liczących ponad dwa tysiące czterysta stron, wymienia po nazwisku 116 kochanek. Hermann Kesten — pisarz i publicysta niemiecki — twierdzi, że to chyba niewiele, bo zaledwie trzy kochanki w roku.

się własnym szlachetnym postanowieniem. Godzinę rozprawał o tym, że Aniela go nie kocha.

— Mylisz się, ona cię kocha — rzekła naiwna Martina — gdy leży z nami w łóżku i obejmuję mnie, mówi rozpłona namiętnością: „Mój mały abate”!

Nanette, rumieniąc się i chichocząc, przycisnęła dłoń do ust Martyny. Siostra broniła się, zawiarił wszak przyjaźń braterskim pocałunkiem, a Jakub jest zbyt rozsądny, by nie wiedział, co robią dziewczęta, leżąc razem w łóżku. Niewinne wyznania podnieciły Jakuba. Czy Nanette również gra rolę męża Anieli? Martina wyznała, że jest odwrotnie.

— A co mówi Nanette w łóżku? — badał dalej. Dziewczyna zawołała pospiesznie:

— Tego nikt się nie dowie!

— Więc kochasz kogoś? — zapytał Jakub i nagle zrodziło się w nim podejrzenie, że Nanette jest rywalką Anieli i że go kocha. Czyż w takich okolicznościach miały spędzić całą noc „bezczylnie”?

Natychmiast zaczął ziewać niby zmęczony sennością. Dziewczęta znów zaproszowały mu swoje łóżko, kanapę uznawały za nie dość dobrą dla niego. Martina miała inny pomysł: chciała, by wszyscy troje spali ubrani w łóżku. W ubraniu nie potrafił spać — oświadczył Jakub. A ponadto honor jego wymaga, by wszyscy troje spali w łóżku rozebrani. Obraża go wszelka nieufność. A poza tym czyż nie są dwie przeciwko jednemu? I czyż nie widzą, że jest śmiertelnie zmęczony?

W końcu siostry obiecały, że gdy tylko Jakub zaśnie, położą się do łóżka rozebrane. Wobec tego odwrócił się do nich plecami, zdjął szybko ubranie, wsunął się do łóżka, udawał, że zasypia i rzeczywiście zaśnął.

Obudził go dopiero szmer, gdy dziewczęta kładły się przy nim, odwrócił się jednak na drugi bok i udawał, że śpi, dopóki nie zasnęły lub mogły dla przyzwoitości udawać, że śpią.

DZIEWCZĘTA ZGASIŁY ŚWIATŁO

Odwróciwszy się ostrożnie do swej towarzyszyki po prawej stronie, Jakub nie mógł rozpoznać, czy była to Nanette czy Martina. Starannie wystrzegał się choćby najmniejszego cienia gwałtu. Oszczędzając w sposób najdelikatniejszy wstydlność dziewczęcia, powoli doprowadził do tego, że uległa mu bez oporu i jak gdyby we śnie zezwalała na wszystko.

Niebawem obudziła się w niej natura — wnioskuje Casanova — i przyszła mu z pomocą. Nie mając żadnych wątpliwości co do dziewictwa dziewczyny, osiągnął cel swych pragnień.

Stary Casanova, opisując tę przygodę, w której po raz pierwszy pozabawił młodą dziewczynę niewinności, stwierdza ze spokojem, że to tylko czczy przesąd każe nam przeceniać walor dziewictwa.

Owej nocy sam po raz pierwszy z zachwytem spełnił akt miłości.

Nie tracąc czasu, ze świeżo rozbudzoną energią zwrócił swoje uczucia i starania ku dziewczynie z lewej strony, leżącej na znak i pogrążonej w głębokim śnie.

Z największą ostrożnością, jak gdyby nie chcąc jej zbudzić, zbliżył się delikatnie, a zarazem stanowczo do drugiej z siostr i pieszcząc ją czule, by zaspać jej zmysły, przekonał się, że i ona była nieknięta.

Wreszcie wydało mu się, że rozbudzony w dziewczynie naturalny popęd sam dopomina się o swoje prawa. Spełnił akt miłości. W momencie kulminacyjnym dziewczyna przestała udawać, że śpi, objęła i całowała go płomiennie, dzieląc z nim ekstazę, aż „dusze ich — jak mówi Casanova — stopiły się w rozkoszy”.

Po silnej namiętności zdawał się rozpoznawać Nanette i wymówił jej imię. Bez wahania wyznała, że jest szczęśliwa, podobnie jak Martina, byle tylko pozostał wierny! (Jej? Martynie? Czy też obu dziewczętom?)

Zapalił świeczkę i napawali się swym widokiem. Wśród śmiechów myśli się wzajemnie. Nowy żar rzucił go w ramiona Nanette. Martina oświeciła ich świecą. Potem poprzysięgli sobie wieczną przyjaźń i zjedli resztę wędzonego ozoza.

Podczas następnej wizyty Jakuba u ciotki Nanette dała mu po kryjomu woskowy odcisk klucza od bramy, by mógł odwiedzić je do woli, postępując się podrobionym kluczem. Dostała mu w bilecik, że poprzedniej nocy gościli u siebie Anielę, która domyśliła się wszystkiego i obrażona przysięgła, że nigdy więcej do nich nie przyjdzie. Siostry kpiły sobie z tego. Szczęśliwy przypadek uwolnił ich w parę dni później od Anieli — mówi cynicznie Casanova — jej ojciec bowiem, malarz fresków, zabrał córkę z sobą do Vicenzy.

Jak dotąd, groźnego w przyszłości uwodziciela Casanovę z drogi cnoty sprowadziły młode dziewczęta, a pierwsza, która mu się oddała — uczyniła to anonimowo w ciemności — była jedną z dwóch.

Casanova często uwodził siostry lub przyjaciółki parami, był zwolennikiem zbiorowej rozpusty.

W Pamiętnikach, owym podręczniku sztuki uwodzicielskiej, uczy wyraźnie, że łatwiej uwieść dwie dziewczyny naraz niż każdą z osobna. Razem szybciej wyzbawiają się wstydlności, współzawodniczą ze sobą z zadrzoci lub dla sportu. We dwie łatwiej lekceważyć się niebezpieczeństwem i niepostrzeżenie osiąga moment, w którym trudniej cofnąć się niż zrobić krok naprzód, a popęd staje się mocniejszy od wstydu.

GIULIETTA

Oczywiście, nie miał wówczas szczęścia u wielkich kurtyzan. Adwokat Manzoni zaprowadził go do Giulietty Preati, swanej wywabiaczki plam, la Cavamachie, bowiem ojciec jej zajmował się czyszczeniem garderoby. Siedziała w swym małym saloniku na kanapie obok jednego z kochanków. Pajilo się dwadzieścia świec, siedmiu wielbielieli siedzących w półkołach wzdychało do niej. Osiemnastoletnia Giulietta zmierzyla młodego, szesnastoletniego księdza Casanovę od stóp do głów.

Pewien patrycjusz, któremu Giulietta odnosiła kiedyś odświeżone ubranie, przedstawił ją swemu przyjacielowi, adwokatowi; mecenas urządził jej mieszkanie i zapłacił nauczyciela muzyki, a po pół roku odstąpił dziewczynę pewnemu Żydowi, który obsypał ją biżuterią i z kolei oddał jakiegoś impresario; ten postarał się dla niej o rolę eunucha w operze Metastasia w Wiedniu, skąd wydalila ją wielodzietna cesarzowa Maria Teresa, mając na względzie interesy swych cnotliwych wiedeńczyków. Giulietta wróciła w towarzystwie niejakiego hrabiego Spada triumfalnie do Wenecji, jako kobieta zbyt niebezpieczna dla mieszkanców naddunajskiej stolicy.

Zaangażowana do teatru w Parmie, podbiła serce markiza Sanvitale, po czym spoliczkowana w jego łóżu przez markizę znów wróciła do Wenecji, gdzie markiz tytułem wstępnego odszkodowania za krzywdę moralną wypłacił jej sto tysięcy dukatów, co za jednym zamachem uczyniło z niej najszlachetniejszą kurtyzanę Wenecji. Mawiała chętnie: „Czyż można się oprzeć takiemu markizowi?”

Pewnego dnia Giulietta poprosiła Jakuba, by w pięknym salonie swego mieszkania wydał bał na jej koszt. Po kolacji kazała się zaprowadzić do jego pokoju i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Oczekiwał upragnionej chwili szczęścia, gdy tymczasem Giulietta zaproponowała mu tylko zamianę garderoby, chciała bowiem zatańczyć z nim na sali balowej w stroju kleryka, podczas gdy on miał włożyć suknie dziewczęce. Po długich prośbach pocałowała go. Potem zrzućcia spódnicę i zresztą wciągnęła jego spodnie. Pozwoliła, by jej włożył koszułę, lecz skarciła jego zbyt ciekawe ręce i spojrzenia. Ostatecznie ktoś za tę wdzięki zapłacił sto tysięcy dukatów. Mimo sprzeciwu z jej strony, zdjął szybko ubranie, musiała mu pomóc przy wkładaniu koszuli i spódnicy; zawrzała oburzeniem, widząc, że Casanova nie ukrywa natekującego się na widok jej wdzieków podniecenia.

Na sali balowej zatańczył z sobą. Wróciwszy do pokoju Casanova przebrał się, a gdy Jakub chciał ją powtórnie pocałować, wymierzyła mu siarczysty policzek.

Z książki „Casanova” Tytuł i źródła pochodzą od redakcji.



Rys. Janusz Szymański-Głanc

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

Matka w jej snach. Matka, która oprócz pięciopięciowego banknotu z uniesieniem dawała błogosławieństwo i rozpraszanie grozącej jej nożem narkomanowi, ta apostołka sprawiedliwości bożej i miłosierdzia — w jej snach była prokuratorem. Bezwzględny, przebiegający nad ławą przysięgłych, nad sądem, nad adwokatem. To matka prowadząca ją naga i oślepiającą wodą przez salę rozpraw i obracała przodem do publiczności, szarpając za uciety koniec sznura, który ciasno opłatał jej talie...

„Proszę zaprzysiąc oskarżoną. Ten wymięszonej barłóg dla czaruchów” — mówiła. — szarpając za koniec sznura. Wokół rozlegały się nieprzyjemne pomruki. Na ruchomym stoliku leżał omszały, śliski gład pokryty szlamem. Matka zatapiała w nim palec, jakby był on z plasteliny, odrzucała od niego grude, którą wkładała jej podstępnie i ukradkiem pod pachę.

„Proces ma charakter posłakowy — mówiła. — Ale to pewne, że oskarżona wkrótce dostarczy nam dowodu rzeczowego. Będzie nim czarny be kart.”

I omszały, śliski gład na ruchomym stoliku zamieniał się w zakrwawione, pokryte śluzem zwłoki niemowlęcia, a gruda pod jej pachą zamieniała się w głowę oddzieloną od tych zwłok i tak małą jak włoski orzech.

Potem stara wreszcie umarła w tym szpitalu. Tkanki rakotwórcze wyżyły z niej całe życie, więc dała za wygraną i trzasnęła kopytami. Ale sny nie chciały dać za wygraną i nadal ją nękały, pojawiały się regularnie. Tłumaczyła sobie, że są to tylko kosmary, zniekształcone reminiscencje, nie mające istotnego sensu przejawy buntu podświadomości, gdzie zepchnęła stłumione uprzedzenia rasowe, niechęć do matki, nieakceptowany przez wpojony jej mieszczański moralność wizerunek samej siebie, bezasadne obawy przed ciążą (znany, znany to bajdowanie psychanalizy) — niemniej potrzebowała godziny, czasem szklanki bourbonu, by po takiej nocy jakoś się pozbierać i przyjść do siebie. Sny jednak powracały uparcie i wzorem wzburzonej fali niosły dramatyzm, rozbudowując fabułę i rozwijając akcję przy równoczesnej rudymencie wątków wcześniejszych.

— Ira. — Jej kark owionął ciepły oddech. — Pan Greyhound spędza swoje owieczki do zagrody.

To Nichol, współtowarzysz podróży, który w Denver ustąpił jej miejsca pod oknem — pochylił się nad nią, piastując przy piersi dwie wypchane papierowe torby. Omal nie uderzyła czołem w jego zwichrowany nos, kiedy tak niespodziewanie wyrwał ją z zadumy.

— Co?

— Za chwilę odjazd. Musisz się pośpieszyć, jeżeli chcesz zdążyć.

Ira odstawiła talerz i wytarła usta chusteczką.

— Właśnie skończyłam.

— Skończyłaś? — Zdziwił się Nichol spoglądając na za ledwie napoczętą porcję naleśników. Pamiętał jej niedawne skargi: „Z tego wszystkiego nie zjadłam śniadania i nie wzięłam nic do jedzenia na drogę”.

— Jakoś mi... eee...

Podniosła się do stolika i oboje wyszli na dwór, w upał dnia. Na betonowym placu dyszał w słońcu i wprawiał w drżenie powietrze nad sobą duży autobus Greyhound. Pasażerowie niknęli w jego klimatyzowanym wnętrzu.

— Kupię dla nas prowiant — Nichol potrząsnął papierowymi torbami. — Kurczaki, frytki, piwo... Następny postój dopiero w Salina. Hej i zgadnij, co jeszcze mam. Butelkę „White Horse”. Dobrze ci zrobi mały lyczek szkockiej.

— Dziękuję. Nichol. Dziękuję, żeś o mnie pomyślał. — Miły chłopak z tego Nichola. Uczynny i opiekuńczy. Bezinte-

resowny, jak się wydaje. I nie ma tego chamskiego zwyczaju obmacywania dziewczyny, przy której siedzi i do której... chyba się przystawia? Nie wie, biedaczek, że ta dziewczyna jest knajpianą tuftą, nawet niezbyt kosztowną, i zwyczajnie przystawia się do niej, stosując przy tym metody dosyć staroświeckie. No, to dopiero początek podróży. Nie wiadomo, co takiemu może odbić później, w nocy, kiedy ta jego przyswitość, rycerskość? powściągliwość? zostanie wystawiona na cięższą próbę. Ubrany jest w strój, który odkupił od jakiegoś weterana ruchu hippisowskiego, ale czysty. Chwała Bogu czysty. Włosy ma krótko ostrzyżone, starannie wycienione i pachnie dobrą wodą kolońską (pewnie Brut, siemnaście dolców za flakonik).

— L... Nichol?

— Tak?

— Chciałabym, żebyś mi opowiedział coś o sobie, jak wyjeżdżamy z tego miasteczka. Dobrze?

Z „EWANGELIARZA ELIASA”

Ostatnie minuty przed godziną „G”.

„Nie chcę nawet słyszeć o żadnych motelach, restauracjach, kempingach, zjazdach i punktach sprzedaży kurczaków — powiedział tato przed wyjazdem. — Nie chcę żadnego hałasu, zaduchu i tłoku. Żadnych klimatyzacji, odkażających sedesów, telefonów, komunikatów orasowych, telewizorów i tych cholernych syren. Dziewicza przyroda, szum wiatru w palących drzewach, krzyk dzikiego ptactwa, brzęczenie owadów. Powrót do korzeni. Chyba mam do tego prawo od czasu do czasu, tak czy nie?”

„Masz do tego słuszne prawo, Neville’u Leinsterze” — przyznała mama.

„No, ja myślę”.

I ugodniwszy tak oto wspólne stanowisko państwo Leinsterowie wybrali się na biwak wraz ze swoim pięcioletnim adoptowanym synem Powellem i z prawie osiemnastoletnią rodzoną córką Florence, która — jak się dowiaduje nie pierwszy już raz — nie ma nic do gadania w sprawach dotyczących jej osobistej. Tato zażądał, by jechała razem z nimi, i bez dyskusji. Nie ma nic do gadania? To się jeszcze okaże!

Miejsce, w którym pan Leinster, wicedyrektor Działu Sprzedaży w prosperującej firmie tekstylnej, rozłożył się biwakiem, spełniało wszelkie warunki gluchego odludzia. Znajdując się ponad czterdzieści kilometrów poza miastem było otoczone terenów golfowych chronione przed hałaśliwym ruchem na odległej szosie, a rzemiejącą siatką — przed wtargnięciem intruzów. Siatka ta okalała zapuszczoną posiadłość Halla Toyesa, jego schedę po ojcu, który darzył tę ziemię szacunkiem raczej znikłym. Po jej odziedziczeniu Hall Toyes tylko raz zaszczycił ją dumnym spojrzeniem posiadacza i postawił notariuszowi tylko jedno pytanie: „Ile to warto?” Hall był przyjacielem pana Leinstera, więc z serdeczną gościnnością otworzył przed nim podwoje swojej posiadłości, ani przez moment nie dając po sobie znać zaskoczenia, że czło-

wiekowi o tej pozycji społecznej chce się bawić w harcerzy. Pan Leinster właśnie to robił — bawił się w harcerzy — z junacką werwą i fantazją. Najpierw, w krótkich spodkach i w bluzie z tropiku, sprężystymi krokami obszedł okolicę, przepatrząc ją bystrym wzrokiem Drapieżnego Sokola, i zademonstrował rodzinie, miejscowej florce i drobnej faunie swoje guzłowate mięśnie pękatych, owłosionych nóg dżdżownicy Zastępy Wytrwałych Piechurów. Potem podjechał samochodem do kępy drzew przy

wyschniętym strumieniu i wyjął z bagażnika sprzęt turystyczny. Teraz rozbił namiot z wprawą wodza Wielki Wioham. Wobec tego imienia miał stosunek ambiwalentny, ponieważ nie był pewien, czy rozbijanie wigwamów nie jest cholerną domową wyłączone squaw. Problem ten bez reszty zaprzął myśl pana Leinstera, który kłęcząc na trawie i grzmocił młotkiem łeb harpurowego śledzia.

Myśli Powella zaprzął inny problem. Chłopiec trzymając przed sobą w obu rękach elektryczny pistolet Smith i Wesson stał nad swoim przybrany ojcem, celował do niego z tyłu i medytował, co by to było, gdyby pociągnął za język spustowy. Czy kula przewierci ten gruby kark na wylot i gładko, tak że zostanie po niej tylko mały otworek, czy też rozzerwie go na strzępy, aż głowa odskoczy wysoko, ciało zwali się w bok, a na kolorowe płótno namiotu chłopię krwawa miazga — jak na tamtym filmie?

Odmienny problem zaprzął myśli pani Leinster. Zresztą to nie problem, to skandaliczne niedopatrzenie i katastrofa. Jak można było zapomnieć o tych czterech galonach wody źródlanej przygotowanych do zabrania jeszcze wczoraj? Przygotowanych przez nią samą, bo ona jest kwatremistrzem, i przez nią samą pozostawionych w chłodzie garażu. Jak można było zapomnieć? A ona zapomniała. Dopiero po przybyciu tutaj, po otwarciu bagażnika Margaret odkryła tę okrutną prawdę. Ach, gdyby to koryto strumienia nie miało tak bezlitosnego suchego dna, jakos udałooby się przekonać harcerzy, że w tej sytuacji używanie kupionej w sklepie wody, która jest przecież syntetycznym zastrzykiem chemii technicznej, zepsuje im całą przyjemność korzystania ze szczerych i nieskalanych dóbr natury. Problem Margaret polegał na wyborze przekonującej wersji usprawiedliwienia.

Myśli prawie osiemnastoletniej Florence także zaprzętał niebiały problem. I chociaż sprowadzał się on do prostego pytania: jak stać przysnąć? — rozwiązać go było trudniej niż razem wziąć problemy reszty

członków rodziny Leinsterów, mamy, taty i brata. Na dzisiejsze popołudnie Florence umówiła się Murrayem i ze swoją przyjaciółką Liz, której wreszcie udało się przygruchać młodego Durwooda. Mieli w czworakę pojechać na rewię, potem do rzeczywistości wykwalifikowanej restauracji, a potem — każdą parą oddzielnie, to jasne, nie? — tam, gdzie zechcą, byleby wrócić, zantm Jarecy próchnięty przed telewizorem złączną z niepokojem spoglądać na zegar. Wszystko już było ustalone i załatwione: bilety na rewię i rezerwacja stolika w restauracji; Florence po długiej i dotkliwej rozterce wewnętrznej wyznaczyła nawet miejsce na swoim udzie, dokąd tego wieczoru pozwoli sięgnąć Murrayowi, a tu nagle tato zażądał, by jechała na ten obłąkany biwak razem z nimi.

„Ależ tatusiu — powiedziała — Murray...”

„Murray to niepoń — przerwał jej ojciec. — Zgniliy od środka playboy. Wiesz, że córka Talbotów miała przez niego kłopoty?”

„To nieprawda, tatusiu. Murray jest porządnym chłopcem. Dobrze wychowanym. Przecież znasz jego rodziców. Carolyn złośliwie rozpuszcza o nim te plotki, bo z nią zerwał, kiedy się przekonał, co z niej za złoty. Zresztą będzie z nami Liz i... i wszystko już zostało...”

„Wiesz dla Liz masz zamiar włożyć te czarne... — ojciec przerwał jej znowu, ale słowo „majtki” nie przeszło mu przez gardło — ...te czarne koronki, które się suszą w twojej łazience?”

„Och, tatusiu! Jak mogłeś...”

„Jak mogłem co?”

„Byłeś... Jeżeli szukałeś czegoś w mojej łazience, wystarczyło mnie zapytać.”

„Chcesz przez to powiedzieć, że we własnym domu nie mam prawa poruszać się swobodnie?”

„Wiesz dobrze, że nie o to mi chodzi.”

„Neville’u Leinsterze — wtrąciła mama występując w jej obronę. — Wydaje mi się, że Flo jest już dostatecznie dorosła, żeby samodzielnie decydować, co ma na siebie włożyć. Skoro lubi koronkową bieliznę, czemu nie ma jej nosić? Jest taka praktyczna...”

„Praktyczna? Nie wątpię”. „Przed ślubem, mój drogi, kiedy zabierałeś mnie do Klubu Traperów na potańcówkę, zawsze wkładałam pod spód coś frywolnego, bywało że koronkowe figi również, i wcale nie po to, żebyś mnie w tym oglądał. Dla samej siebie, jeśli potrafisz to zrozumieć.”

„Ale nie przypominam sobie — odpowiedział tato — żebyś nosiła wtedy czarne podwiązki w srebrne serduszka i z ja-ban-kami”.

„Och! — wykrzyknęły obydwie jednocześnie i z jednakowym oburzeniem; mama, bo tato niepotrzebnie zdziła zastępną niewinności z ich przedmatężskiego romansu, a ona dlatego, że jej najszybsza tajemnica została odkryta i brutalnie ujawniona. — Och!”

„Nie grzebałem w jej bieliznie — tato zwrócił się do mamy. — Kupiła to szkaradziestwo w którymś z tych bujczy-sklepów na Dwunastej i swoim niechlujnym zwyczajem rzuciła paczkę na łóżko, aż pękł papier i wypadły z niego te czarne gumy całe w srebrne serduszka. Na rozbrabanę, białej pościeli nie można czegoś takiego nie zauważyć. Idę z zakład, że już to przymierzysz i w tym paradzie. Chcesz się przekonać?”

„Neville’u Leinsterze — mama miała oczy jak spodki — chyba nie będziesz wkładał swojej dorostej córce ręk pod spódnice?”

Tato, ani trochę nie speszony, cofnął się i znowu powiedział do mamy:

„Teraz już wiesz, jakim zgnitkiem jest ten Murray, który namawia dziewczynę, żeby uciagała na siebie takie popęgi, bo inaczej to jemu... to... to zbroczony niedołęga, zepsuty i przyszyty łowca...”

„Ależ tatusiu!”

„Ty tu nie masz nic do gadania — zakończył tato. — Jedziesz z nami, i bez dyskusji.”

Nie mam nic do gadania? No, to się jeszcze okaże!

Myślała Florence patrząc, jak jej bratczek Powell celuje w pistoletu w kark swojego przybranego ojca. Ale żaden rozsądny plan ucieczki nie przychodził jej do głowy. Była skłonna uznać, że problem ten jest nierozwiązalny. Chyba ze odejście stąd na własnych nogach, pod potępiającym ją i wyklinającym na wielki spojrzaniem rodziców.

Tymczasem pięcioletni Powell mógł jej problem rozwiązać momentalnie — gdyby tylko zamiast elektrycznej zabawki trzymał przed sobą prawdziwego Smitha i Wessona. Efektownie huknął strzał w gorącym, stężonym powietrzu i pan Leinster upuścił młotek.

— Stephensonie Baden-Powell — powiedział siłąc się na spokoj — czy nie zrobi ci różnicy, jeśli znajdziesz sobie innych wrogów? Widzisz tę starą szopę na prawo? Lepiej poszukaj w niej, synku, Tchórzliwego Zgnitka Murraya, który czuśnie tam ze swoją bandą, żeby w nocy napaść na nasz obóz.

Tchórzliwy Zgnitek Murray nie a nic nie obchodził Powella. Chłopiec stwierdził zadowolony, że kula nie rozzerwała ojcu karku, po przejściu kuli nie został nawet mały otworek. Z zasadną urazą postąpił krok ku mamie, bo to ona przed wyjazdem na biwak kupiła mu ten nieprzydatny pistolet, ale mama stała nad rozłożonym prowiantem, mając ręce związane bezwładnie i wpatrując się w tatę z taką miną, jakby coś przeszkobiła. Kiedy zaczęła mówić, Powell usłyszał w jej głosie skruć pogodzonej z losem winowajczyni:

— Neville, pamiętasz, o czym rozmawialiśmy przy śniadaniu?

— Nie bez kozery kierownik licealnego teatruży stale w najdłuższym dla niej pilne zajęcia poza sceną. To retoryczne pytanie, w zamiarze oskurżycielskie, wypadło jak lament. — Prosiłam cię, żebyś jeszcze raz sprawdził, czyśmy na pewno wszystko spakowali.

Pan Leinster grzmotnął młotkiem w łeb śledzia, uniósł ra-

nię do kolejnego ciosu i na sekundę znieruchomiał w tej pozycji — niezłym wódem Walecny Kojot podrywający się z tomahawkami do ataku.

No więc tak — pomyślał. — Zawsze tak jest. Człowiek zawsze o czymś zapomni, choćby każdą cholerną rzecz zapisywał na stu kartkach i potem sio razy sprawdzał, czy została ona spakowana. Tak było z przyprawą korzenną poprzednio, a wcześniej — z suchym paliwem do kochera. I oto moja roztrzępiona żona chce mi powiedzieć, że teraz także o czymś zapomnieliśmy.

— Chcesz powiedzieć, że o czymś zapomnieliśmy?

— O wodzie. O czterech galonach źródlanej wody, którą wczoraj zniósłam do garażu. Miałeś je załadować do bagażnika samochodu. Nie widzę ich tutaj.

— Ja miałem je załadować?

Jeśliby ktoś zapytał o to pana Leinstera, on tę wypowiedź żony nazwałby próbą przerzucenia na niego odpowiedzialności za to niedopatrzenie. Ale przez dwadzieścia lat małżeństwa powinien był się już nauczyć, że na Margaret nie można polegać i musi sam pamiętać o każdej cholerniej rzeczy, o każdej cholerniej sprawie, o każdej cholerniej szaszłyki pieczone nad ogniskiem doprawdy nie mają tego smaku.

Pani Leinster spojrzała na swój ręczny zegarek.

— Za godzinę będę z powrotem — oświadczyła energicznie, żeby stłumić tę iskrę gniewu w zarodku, zanim harcerzyk Leinster docieknie, kto z nich zaniedbał obowiązki, i wybuchnie. — Pojadę do miasta i kupię, co trzeba. — Ach gdyby on miał jakąś wstydlivą słabość, na przykład zbyt często zaglądał do kieliszka, to byłoby go uodbruchać o bieliznę przywiezienia mu hiszki jego ulubionej whisky Zaraz, zaraz... — I jest luz w samochodowym zamrażalniku, akurat tyle, że się zmieści tort lodowy. No iskoro już będą w supersamie, mogą kupić pięcioletni woreczek bananów.

Pan Leinster podniósł się z kłeczek, pozostał jednak w przysiadzie, przenosząc ciężar ciała na palec stopy. Banany? — zapytał swojego sumienia. — Czy to nie rozpusta na biwaku, który z założenia ma być spartaki? No, to zależy. Istnieją kraje, w których banany są podstawowym środkiem żywienia. Ponadto niezwykle jest pewne, czy tort lodowy bez krojonych bananów i bez... hm, syropu i bakalii będzie posiłkiem pełnowartościowym pod względem kalorycznym.

— Dasz sobie radę z tymi bananami, Mag? — spytał pan Leinster z troską.

— Nie jest ich tak wiele — odrzekła Margaret w drodze do samochodu.

— Pomogę ci, mamo! — zawołała za nią Florence, gurtliwa pomocnica.

Pozostając w przysiadzie i podpierając się młotkiem, pan Leinster na palcach stóp obrócił się w stronę córki.

— O, tak! — warknął — Już ja to widzę.

— Ależ tatusiu! Cztery galony źródlanej wody, pięć funtów bananów i tort lodowy to mnóstwo sprawunków...

Tato jednak już na nią nie patrzył.

— Aha, Mag — zwrócił się znowu do mamy. — A co do tego tortu... Może kupisz także polewę karmelową, rodzynki, orzechy i...

— To mnóstwo sprawunków, tatusiu!

Mama wsiadła do wozu i zatrzasnęła drzwiczki. Przez opuszczoną szybę powiedziała:

— Spokojna głowa, Neville’u Leinsterze. Nikt lepiej ode mnie nie wie, czego potrzebuje twój organizm.

C.D.N.

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia”.

Rys. Janusz Szymański-Glanc